Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.
1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 18 grudnia 1938 r. Nr. 51

CZARY...

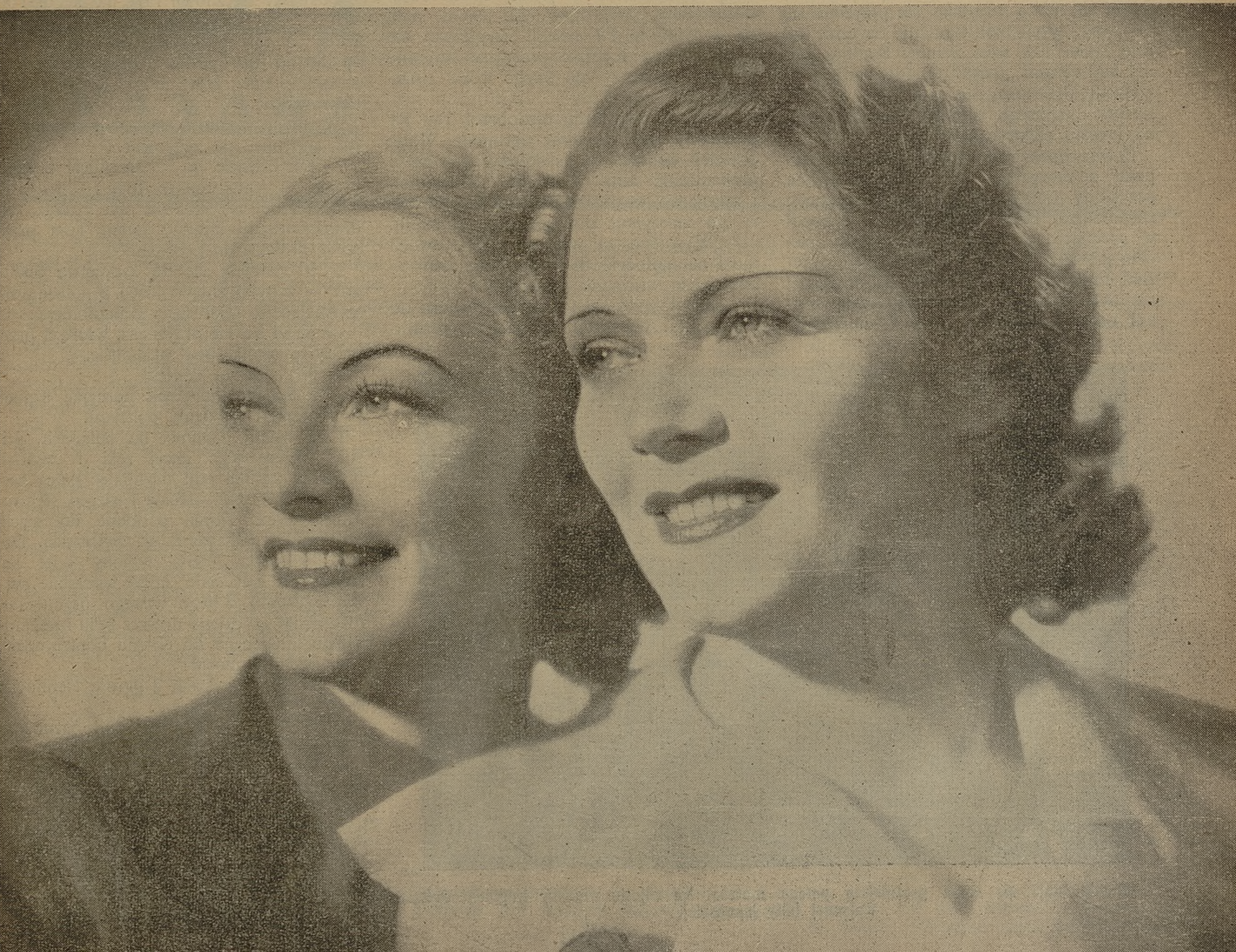
Dziewczątka moje śliczne,
Dziewczątka me kochane,
Takieście przemiłe,
I takie malowane

Usta wasze czerwone,
Jak róży nęcą płatki,
Takie słodkie, pachnące,
Wonią jakiejś pomadki.

W łuki brwi przystrojone
Piękne wasze są główki.
Pracowały nad brwiami
Malusieńkie ołówki...

Czar tych ozdób głęboko
W serca męskie przenika,
Cóż, gdy wszystko to można
Nabyć tanio w sklepiku.

X.[2]



ADAM CZEKALSKI

13)

Hollywood

POWIEŚĆ

(Dokończenie)

System ten, uznany przez policję za niezrównany, o ile chodzi o wydobycie zeznań od osobników milczących, jak kamienie, lub wołających, iż mimo jawnych poszlak są niewinni, wywoływał od pewnego czasu gorące sprzeciwy w znacznym odłamie społeczeństwa. Ale mimo to praktycznie wciąż jeszcze był stosowany.

Podczas gdy według kodeksów prawnych państw europejskich zeznanie oskarżonego musi być poparte dowodami, aby mógł nastąpić wyrok śmierci, w Stanach Zjednoczonych wystarczają same słowa domniemanego zbrodniarza, aby go zaprowadzić na fotel elektryczny lub do komory z gazami trującymi.

Dlatego Hemlock miał nad czym rozmyślać. W świecie przestępczym Tom, zwany popularnie „Stokrotką", znany był ze swego twardego charakteru i iście kamiennej zatwardziałości, gdy chodziło o zeznanie lub przyznanie się, ale nigdy dotąd nie stosowano do niego badania „trzeciego stopnia". Widział jednak takich, którzy takie tortury przeszli i jeśli komuś udało się mimo wszystko nie przyznać się do winy, wychodził złamany fizycznie na całe życie. Tak więc Stanley Souther zginął pod razami „dicka" Gundermana, inny wyszedł okaleczony na całe życie, a wielu tortury „trzeciego stopnia" zaprowadziły na krzesło elektryczne!

Policja wprawdzie broniła „trzeciego stopnia" ze wszystkich sił, powołując się na przykłady praktyczne, jak np. na słynnego zbrodniarza, który zamordował i zakopał w specjalnie ocementowanej piwnicy siedem młodych kobiet i nie byłby się przyznał nigdy do zbrodni, gdyby mu policjanci nie byli złamali przegrody nosowej, podbili oczów, naderwali uszu i zmiażdżyli palców u nóg — ale opinia publiczna nie zdawała się być tym przekonana i domagała się coraz głośniej zniesienia tortur.

Tom znał przynajmniej z opowiadania owe tortury i teraz zląkł ich się prawie śmiertelnie. Prawda, Hoover wymienił jeden tylko wypadek zbrodni, jaką mu się zarzuca, ale czy to wszystko? Hemlock miał ich o wiele więcej na sumieniu i tego właśnie jedynie się lękał, aby w czasie torturowania nie zdradzić się z nimi. Samo uśmiercenie Sikiego nie było zbyt ciężkim w jego mniemaniu przestępstwem. Siki był murzynem, a sądy amerykańskie w sprawie białego z czarnym są bardzo zazwyczaj względne. Kto wie zatem, czy dobrowolne przyznanie się do winy zamordowania Siki'ego bez tortur nie wyjdzie mu na dobre? Policja poprzestanie na tym jednym fakcie i nie będzie dłużej mordowała go więcej. Pewnie Hoover nic dotąd nie wie o udziale Toma w sprawie porwania Purolla? Ale skąd on jednak dowiedział się o dzisiejszej wizycie jego u Browna?

A w tym samym czasie, gdy Hemlock rozmyślał nad tym wszystkim, w sąsiednim pokoju Hoover słuchał sprawozdania Teda Holiday'a.

— Pochwycenie tego niebezpiecznego zbrodniarza — mówił Ted — przyszło nam zadziwiająco łatwo. Po prostu wkroczyliśmy do mieszkania Browna zupełnie niespodziewanie i w jednej chwili obezwładniliśmy „Stokrotkę". Źle jednak stało się z tym, że Fir uciekł. Znajdował się przed domem i zobaczywszy nas zapewne z daleka, wskoczył do swego wozu i umknął.

— Uf, to naprawdę niedobrze! Ten Fir przydałby nam się teraz ogromnie. Wiesz przecież dobrze, że oskarżony jest on o prowadzenie auta w stanie nietrzeźwym i zabójstwo w czasie bójki policjanta, który go zatrzymał dla spisania protokółu.

— Wysłałem za nim w pogoń dwóch ludzi na motocyklach i powiadomiłem telefonicznie wszystkie posterunki.

— To dobrze, ale to nie doprowadzi do ujęcia Fira. Wiesz dobrze, jaka to szczwana sztuka. On potrafi wywinnąć się nawet dwudziestu policjantom. No, ale trudno, stało się. Wcześniej lub później i tak wpadnie w nasze ręce. Czy samolot O'Conora zabezpieczyłeś na lotnisku?

— Tak jest. Czuwa przy nim dwóch detektywów.

— Dobrze.

Hoover spojrzał na zegarek. Dziesięć minut czasu wyznaczonych Hemlockowi do namysłu — minęło. Detektyw powstał.

— Chodźmy teraz do naszej „Stokrotki". Jeżeli nie jest durniem, to przyzna się dobrowolnie i ułatwi robotę.

Kiedy znowu znaleźli się w pokoju badań, Hoover spytał Toma:

— I cóż, namyśliłeś się?

— Tak. Nie jestem niczemu winien.

— Zaraz zobaczymy, czy nie zmienisz swojego zdania.

Hoover dał znak dwom policjantom, aby rozpoczęli badanie, a sam usiadł opodal i obojętnie palił papierosa za papierosem i rozmawiał z Holiday'em. Tymczasem jeden z policjantów przyskoczył do Toma, porwał go za włosy i naciągnął mocno głowę do tyłu, drugi zaś uderzył go raz i drugi żelaznym prętem po jabłku Adama. Hemlock zawył z bólu i z całych sił naprężył kark, aby wyrwać głowę z rąk „dicka".

— Przyznajesz się? — spytał policjant.

— Nie, ja nie zabiłem — jęknął Hemlock.

Posypały się znowu razy na niego. Tom wył z bólu, rzucał się, próbował uwolnić włosy z rąk policjanta, a żelazny pręt spadał na jego gardło i przyprawiał go o straszliwe bóle, które mogły do szaleństwa doprowadzić.

W końcu Hemlock omdlał i zdawał się już zupełnie nie reagować.

— Otrzeźwijcie go i zacznijcie z innej beczki — rzucił rozkaz Ted.

Spełniono natychmiast ten rozkaz, ale długie minuty minęły, zanim Tom przyszedł wreszcie do przytomności.

— Przyznajesz się do zabójstwa Siki'ego? — zapytał znowu jeden z policjantów, trzymając w ręku igły gramofonowe.

— Jeżeli się nie przyznasz, włożę ci przemocą te szpilki pod paznokcie.

— Nie... ja nie zabiłem...

— Zaaplikuj mu Dick porcyjkę szpilek — roześmiał się drugi policjant.

Dick usiadł Tomowi na kolanach, ścisnął palce jego lewej ręki i wsadził pierwszą szpilkę pod paznokieć palca serdecznego. A jednocześnie rozległo się straszliwe wycie Toma, podobne do wycia potwornego torturowanego zwierzęcia. Doznał wrażenia, jakby miliony igieł kaleczyły mu całe ciało, jakby wszystkie nerwy wycinano z jego żywego organizmu. Przeniknął go całego dreszcz bólu niesamowitego, mogącego do obłędu doprowadzić.

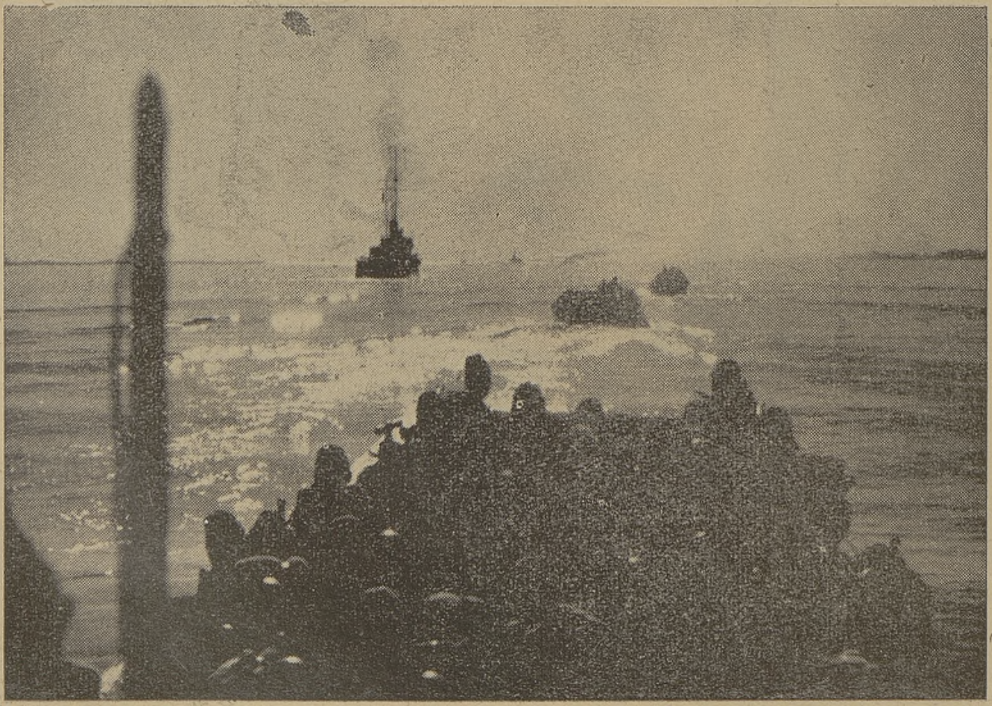
— Będziesz mówił?

— T...ak — wyszedł z gardła Hemlocka krótki, zduszony charkot.

Dick wyciągnął szwilkę spod paznokcia i spojrzał w kierunku Hoovera.

— Dosyć, uwolnić go i dać mu się napić trochę wina — rozkazał detektyw.

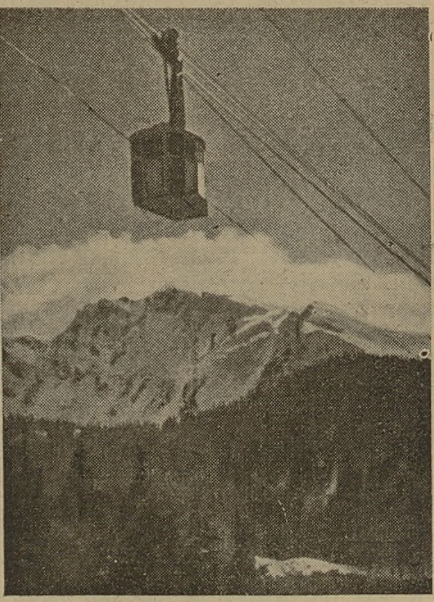
Hemlock był prawie całkowicie złamany bólem. Czuł żar całego ciała, dreszcze przebiegały mu po krzyżu, chwilami zęby dzwoniły jak w febrze. Uwolniono go natychmiast z łańcuchów, podano wina i ustawiono maszynę do notowania zeznań.



Japonia staje się coraz groźniejszą potęgą morską. Na zdjęciu widzimy fragment ćwiczeń wojennej floty japońskiej.

— Przyznajesz się do zabicia Batling Siki'ego? — spytał Hoower.
— Tak.
— W jaki sposób dokonałeś zabójstwa? Hemlock powtórzył szczegóły, które opowiedział poprzednio detektyw.
— A gdzie znajduje się teraz mister Roger Puroll? Ty brałeś udział w tym porwaniu.
— W pałacyku O'Conora nad jeziorem Erie.
— Dlaczegoście go porwali?
— Chcieliśmy wymusić okup na jego żonie — łgał Hemlock.
— Czy za wiedzą O'Conora?
Tom milczał czas dłuższy, rozważając, co teraz powiedzieć. Jeżeli wmiesza Slima do całej sprawy, skrupi się to wszystko zarówno na Slimie, jak i na nim samym, prawdą, co powiedział Hemlock, gdyż wszystko świadczy przeciwko Slimowi. A nie masz pojęcia, jak bardzo pragnąłbym dostać go w swoje ręce. Formalnie nic mu udowodnić nie mogę jeszcze, ale jestem pewien, że w wielu sprawach dotąd niewyjaśnionych maczał on palce. Tymczasem jednak musimy pojechać z wizytą do Slima.
A w tym samym prawie czasie Slim odgrywał ostatnią komedię w swoim pałacyku nad jeziorem Erie, jak to słusznie przewidywał Hoover, wydostał się szczęśliwie z matni policyjnej i ukrywszy się u jednego z przyjaciół, również gangstera, zatelefonował natychmiast do O'Conora i powiadomił go o nieudanej wyprawie po Browna i aresztowaniu Hemlocka. Radził więc w obawie, że Tom może zostać poddany Mógł wprawdzie bronić się przy pomocy swoich bardzo wpływowych przyjaciół i pieniędzy, ale ile by go to trudów kosztowało, z góry przewidywał. Dlatego postanowił koniecznie tego wszystkiego uniknąć. Szukając zaś ratunku w głowie i czując, że pętla policyjna może niebawem zacisnąć się na jego szyi, w pierwszym odruchu postanowił pójść do Purolla i zagrawszy przed nim komedię, uwolnić go i zdobyć sobie tym samym jego świadectwo.
Myśl ta wydała mu się tak dobrą, że — nie znajdując innej lepszej — wprowadził ją niezwłocznie w czyn. Pobiegł więc do zamkniętego w pokoju bez okien Rogera i przedstawiwszy mu się, jako właściciel tego domu, rzekł:
— Co za czasy, co za czasy! Człowiek nie może oddalić się na tydzień z własnego

jeżeli natomiast osłoni O'Conora, będzie mógł z całą pewnością oczekiwać od niego wybitnej pomocy. Na myśl przyszedł mu ów Blackburn, o którym wspomniał już Hoover, że znajduje się w Sing-Sing. Tom wiedział dobrze, że to nieprawda. Blackburn był gangsterem, jak i Hemlock i złapany z rewolwerem w ręku, został zamknięty na 20 lat w Sing-Sing. Blackburn był jednak zawsze najlepszym doradcą boksera Joe Louisa i dlatego też przed meczami jego z Maxem Bearem i Schmellingiem manażerowie murzyna uczynili wszystko co było w ich mocy, ażeby Blackburna wyciągnąć z więzienia. Dzięki wpływom i pieniądzom udało im się to w zupełności i dziś Blackburn, ex-bandyta jest doradcą technicznym Joe Louisa. O tym Tom wiedział dobrze i nie dał się wprowadzić w błąd Hooverowi. Dlatego w końcu odrzekł na pytanie detektywa:
— Nie, O'Conor nie jest wmieszany w tę sprawę... Nic o niej nie wie. Pałacyk jego nad Erie zajęliśmy samowolnie, gdyż wiedzieliśmy, że jest opuszczony prawie.
— Gdzie teraz jest Conor?
— Nie wiem.
— Stop! Odprowadzić go do aresztu.
Tom powstał z ulgą i chwiejąc się na nogach, poszedł naprzód między dwoma policjantami.
— Zatelefonuj na lotnisko, Ted — rozkazał Hoover — aby samolot O'Conora był gotów do odlotu. Nie wydaje mi się to badaniu „trzeciego stopnia", usunąć wszystko, co dałoby policji w ręce atuty przeciwko bandzie.
Wiadomość ta spadła na Slima, jak grom z jasnego nieba. Nie przewidywał nic podobnego, nie rozumiał, dlaczego wszystko to tak fatalnie się złożyło. Ale jedno pojmował doskonale, że musi ratować własną skórę i to za wszelką cenę.



Wagonik kolejki linowej na Kasprowy Wierch przebiega nad pięknymi dolinami i szczytami Tatr.

domu, aby nie stał on się natychmiast żerowiskiem ciemnych i zbrodniczych typów.
Roger, który Slima w ogóle w życiu nie znał i nie widział, popatrzył zdziwiony na przybysza, nic nie pojmując z tej przemowy. Ale O'Conor przyszedł mu niebawem z pomocą, zapytując:
— Więc pana istotnie porwano?
— Tak mi się wydaje. Dla jakich przyczyn i kto to uczynił, nie mam pojęcia — odrzekł Puroll.
— No, zapewne dla wymuszenia okupu, albo też dla jakichś innych, sobie tylko znanych celów. Na szczęście zjawiłem się w porę, aby panu przynieść wolność. Proszę sobie wystawić, że w pałacyku tym bywam dość rzadko i oto pewnego dnia otrzymuję wiadomość od służącego, który dom ten zamieszkuje ze swoją rodziną, że do pałacyku przyjechali jacyś gangsterzy, którzy przywieźli z sobą człowieka i umieścili go w komorze ciemnicowej, w której zazwyczaj wykonuję moje prace laboratoryjne, fotograficzne. Naturalnie przybywam natychmiast i oto na miejscu przekonywuję się o prawdzie słów mojego służącego. Jest mi niewymownie przykro, że to właśnie mój dom stał się więzieniem pana, ale pewnie nie będzie pan za to czuł żalu do mnie.
— Cóż pan temu winien? — odrzekł na to Roger, pojmując teraz dopiero wszy-



Ustawiczne niepokoje w Palestynie skłoniły władze angielskie do zwiększenia kontroli nad Arabami. Na zdjęciu patrol angielski w pobliżu Jerozolimy.

stko. — Czy mogę jednak znać pana nazwisko?

— Ależ naturalnie, jestem Slim O'Conor.

— Ja zaś nazywam się Roger Puroll.

— Ach, wiem, wiem teraz wszystko. Przecież policja i prywatni detektywi szukają pana od tygodni. No, ucieszy się też biedna żona pana, gdy się dowie o szczęśliwym uwolnieniu.

— Czy pan zna moją żonę, sir?

— Pochlebiam sobie, że cieszę się nawet jej przyjaźnią. Musimy natychmiast zatelefonować do „Metropolu" w Nowym Jorku, gdzie znajduje się ona teraz, aby ją pocieszyć.

Puroll spostrzegł, że mister O'Conor jest trochę zdenerwowany, ale domyślał się, że to tylko z powodu tego niespodziewanego odkrycia w jego domu. Obawia się pewnie — pomyślał — aby go nie posądzono o udział w zbrodniczym zamachu na mnie. No, no, nie ma czego się lękać, moje świadectwo na pewno wystarczy policji.

Po kilku minutach obaj panowie znaleźli się już w prywatnych apartamentach milionera, gdzie czekali na telefon, a gdy ten odezwał się w końcu, Slim prawie z radością pobiegł do niego. Usłyszał na drugim końcu drutu głos Kaji i serce gwałtownie mu zabiło. Opanował się jednak i oznajmił artysce, że odnalazł męża w zdrowiu całkowitym.

— Za kwadrans wylatujemy moim samolotem do Nowego Jorku — mówił Slim — proszę nas oczekiwać na lotnisku... No więc — do widzenia tymczasem, oddaję słuchawkę mężowi.

Roger jeszcze bardziej był wzruszony, niż Slim, toteż zdołał wypowiedzieć tylko kilka słów, zapewniając, że jest cały i zdrów. A w kwadrans później samolot prywatny milionera wzbił się w powietrze i przy wtórze muzyki motoru poszybował ku Nowemu Jorkowi. Już w drodze minął się z drugim samolotem, który podążał w stronę pałacyku.

— — — — — —

Rozległ się sygnał do opuszczenia pokładu statku. Ostatnie uściski dłoni, ostatnie pocałunki, ostatnie słowa pożegnania i życzeń i barwna fala ludzka zaczęła odpływać z pokładu statku, który miał uwieźć Rogera, Kaję i Mady Lie, jako sekretarkę osobistą ex-gwiazdy filmowej miss de Rieth, przez niezmierzone obszary wodne ku dalekim brzegom Europy.

Drugi sygnał. Silne ramiona majtków wciągnęły pomost, który łączył statek z lądem. Za chwilę stracą wszelki kontakt z nim, a zdadzą się na łaskę i niełaskę kapryśnych wód oceanu.

Na molo stoją przyjaciele amerykańscy odjeżdżających: Tear, miss Cecylia, doktor Decay i Slim O'Conor. Wszyscy powiewają chustkami, krzyczą jakieś słowa, z których strzępy tylko dobiegają do uszu słuchających na pokładzie. Za chwilę mały stateczek pilota, dysząc ciężko i wyrzucając ze swego olbrzymiego gardła kłęby czarnego dymu, wziął na stalową linę kolosa i wyprowadzał go z portu. Nie mija godzina, a „Florida" żegna po raz ostatni ziemię nowego świata potężnym rykiem syreny, nabiera w płuca pary i zaczyna pruć równą toń oceanu. „Florida" mija inne statki, żaglówki, motorówki, łodzie rybackie. Morze jest niezmiernie ciche, niebo czyste, noc schodzi na niebo i morze.

Ostatni promień znikł, a wraz z nim utonęła w oddaleniu statua wolności portu nowojorskiego. Ameryka została daleko za wodą.

— Kaju, nie żal ci Ameryki! — pyta Roger z uśmiechem, wpatrując się w fosforyzujące zielenią oczy żony.

A ona przytula się do niego mocno i w milczeniu podaje mu usta do pocałowania, usta ciepłe i wilgotne, pachnące młodością i szczęściem.

Mady wzdycha cicho, odwraca się i schodzi do kabiny.

KONIEC

LUCYNA ROKOMYSKA

10)

Biały Płomień

Lipiec, ten najpiękniejszy, pachnący miodem miesiąc, nie przyniósł upragnionej pogody. Szły także same dni w brudnej, przemokłej szacie, rzadko uśmiechające się słońcem jednej, czy dwóch godzin.

Ludzie chodzili smutni, przygnębieni.

Żyta zamiast, jak zwykle w tej porze, szumieć i falować złotym morzem, stały dojrzałe wprawdzie skąpo wydzielanymi chwilami słońca, ale nie radowały serc i oczu tych, co na to czekali od zeszłej jesieni, albowiem nasiąkłych deszczem, smutno schylonych kłosów, nie można było ciąć; czekało się pogody, wołało prośbami po kościołach, mówiło tylko o tym...

Nie przychodziła.

Więc zadźwięczały kosy na obmokłych polach. Na mniejszych, biednych półkach poczęły błyskać sierpy. Rozpoczęły się żniwa, jednak wesołe pogwarki, śmiechy, śpiewania nie niosły się, jak zwykle radosnym echem po malowanych złotem zagonach... Nad pokosami, które kładł raz po raz półkolisty ruch kosy, schylały się twarze zgaszone, bez uśmiechu, jakby przeczuwające, że nie wejdą te żytnie, chlebne kłosy do czekających na to chat... że nie nakarmią przymierających głodem na „przednówku" ludzi...

Spłyną gdzieś z gór lecące wody, powiększą do niebywałych rozmiarów rzeki i zmiotą ze świeżych ściernisk, co tylko związane snopy żyta, zamulą, wbiją w ziemię pszeniczne kłosy stojące jeszcze na pniu, zniszczą jęczmiona i owsy. A w grzędach ziemniaków i jarzyn przeróżnych ryć będą głębokie rowy i wyrwy, aby nie zostało nic, aby tyle pracy ludzkiej i spodziewania poszło na marne...

ROZDZIAŁ XXXV.

— Urlop to był, Bronka — czy nie urlop? — pytała Pita z komicznym zdziwieniem na twarzy. — Czekaj, zaraz ci wyliczę: Pięć razy byłam na przechadzce, z tego dwa pod parasolem... no i już się kończy...

— A kończy — powtórzyła ze smętnym westchnieniem Bronia.

— Tak, Tuśka — mówiła dalej Bronia po chwilce smutnych obopólnych wzdychań — zbyt fortunną miałyśmy myśl brać urlop na piętnastego czerwca. Kto tak, jak my ma tylko miesiąc urlopu, a nie dwa, jak szczęśliwe nauczycielki, to powinien się lepiej zastanowić nad decyzją...

— Moje dziecko, a któżby się spodziewał — poczęła Pita tonem prababki — że nas taka obiecująca pora zawiedzie? Że wszystkie powiewne suknie, przygotowane na ten cel, będą odpoczywały w spokoju, a wyciągnie się z powrotem ciepłą „okryjbiedę" — niedawno zanaftalinowaną? I że na dobitek będę musiała kupić nowy parasol, czego nie miałam w projektach na ten rok ułożonych.

— No, to ostatnie, to już prawdziwe nieszczęście — roześmiała się Bronia.

— Tak się rozżalacie nad sobą — odezwała się Basia — na palcach liczycie przechadzki, więc nie zaszkodzi jedna więcej.

Ubierzmy się i chodźmy gdzie w górę, za biały klasztor — dobrze? Dzisiaj wcale możliwy dzień... Przynajmniej nie pada.

— Właśnie. I zdaje się Basiu, że dla ciebie drugi miesiąc wakacyj będzie łaskawszy — rzuciła Bronia.

— Jeszcze nie wiadomo — wtrąciła Luta. — Kurier przepowiadał w połowie lipca żywiołowe katastrofy...

— A nie myślcie tam która oponować! — krzyknęła Pita z szafy, skąd wyjmowała płaszcze dla wszystkich. — Nie zdało by się to na nic. Luta ma zawsze w pogotowiu tysiąc argumentów na dowód, że Kurierek jest nieomylny...

— O, tym razem niech by raczej był omylny — uśmiechnęła się Luta.

— A ubierajcież się prędzej — prosiła rozdzierającym głosem Pita. — Bo, nim się wybierzemy, zacznie znowu padać.

I rzeczywiście: nie doszły jeszcze do białego klasztoru, gdy zaczęło padać. Na razie był to deszczyk taki sam, jak tyle innych tego roku. Ale w nocy przybrał na sile... Zaś na drugi dzień Bronia i Pita jechały na stację wśród strug ulewnego deszczu....

Zszedł dzień bez żadnej poprawy w pogodzie. Na ziemię zeszła czarna, nieprzeniknione noc.

Deszcz padał ciągle.

Rano gazety przyniosły alarmujące wieści, że wody górskich rzek wzbierają, rozlewają się szeroko; z chat nadbrzeżnych muszą uciekać ludzie...

Dunajec... pokorna, mała rzeka tegorocznej wiosny, — rzeka, chwaląca się wszystkimi kamieniami, skrytymi dotąd zazdrośnie w głębi — rosła z godziny na godzinę.

— Mój Boże... mój Boże... — szeptała Basia schylona nad gazetą — a tyle tam chat ufnie nad samą wodą stojących... Gdzie się ci ludzie podzieją? I czy na czas opuszczą wszystko to, co mają?

W trosce i przygnębieniu poczęły się wlec w domu pani Ciembronowiczowej ciężkie, nabrzmiałe trwogą, godziny.

Przyszła trzecia noc; nakryła ziemię zda się jeszcze czarniejszą chustą, jak dwie poprzednie. Deszcz nie ustawał.

Późną nocą doniosło radio, że na Dunajcu podniosły się wody o pięć metrów ponad stan normalny. Monotonny głos „speakera" mówił:

„Rozszalały żywioł wyrywa drzewa z korzeniami, zrywa mosty, porywa chaty i niesie z straszną siłą na zniszczenie".

Przeszła straszliwa noc, siejąca trwogę nawet w sercach tych, którym powódź nie groziła wcale...

Nad ranem deszcz przycichł. Ale nie mieli nadziei ludzie o twarzach troską zmroczonych, bo niebo nie uśmiechnęło się błękitem... Wisiało dalej nad ziemią groźbą nieubłaganych chmur.

— O, mamo! Tak mi przykro, że nie jestem teraz tam, w mojej szkole — mówiła Basia do pani Ciembronowiczowej. — Oni tam nie mają nikogo, kto by im co poradził, pocieszył w takiej ciężkiej dla nich chwili, lub podał coś ziębniętym, głodnym dzieciom... — Wielkie łzy zabłysły w oczach Basi.

— Trapiłabym się tu, dziecko, o ciebie — powiedziała pani Ciembronowiczowa, ale rozpłakała się również.

Powódź! — Powódź! — wołała co rano gazeta ze wszystkich prawie szpalt. Czarna powódź literek jawiła przed oczyma w miarę czytania inną powódź: groźną, szalejącą wodę, unoszącą na swych brudnych, spienionych falach wszystko, co z straszliwą złością wydzierała ludziom i ziemi. — Więc całą krwawicę twardych, żylastych rąk ludzkich: złote, żytnie snopy i wyszarpane z korzeniami z pól, dojrzałe prawie, pszeniczne kłosy. Więc: chaty niebogate, ale kochane, bo własne... więc różne ubogie sprzęty i naczynia... więc cmentarne krzyże i trumny wydarte ziemi...

Ściskało się serce bólem, a oczy zachodziły łzami na wieść głoszoną przez czarne literki, że jakieś dzieci przetrwały kilka, męką nabrzmiałych godzin na drzewie, pod którym przewalały się rozhulane, huczące głośno wody... — że dwoje ludzi dwa dni i dwie noce głuszyło krzykiem o ratunek szalejącą rzekę, siedząc na drzewie, które cudem wytrzymywało napór wody, aż na wątłym kajaku przypłynął po nich bohaterski chłopak; że jakiegoś starca gwałtem trzeba było wyprowadzić z chaty, której nie chciał opuścić, bo w niej się urodził i w niej chciał umrzeć, a którą już zalewała woda; że wojsko prawie nie śpiąc i nie jedząc, niosło pomoc nieszczęśliwym...

Pomału... pomału straszne wieści ustąpiły miejsca wieściom pocieszającym: rzeki syte krzywdy i łez ludzkich wracały do swoich koryt.

Nad obszarami dotkniętymi klęską — dzień w dzień krążyły stalowe ptaki, bacząc troskliwie, aby głodnym nie zabrakło chleba. Poczęły płynąć dary na powodzian.

ROZDZIAŁ XXXVI.

— Usiądź tu Luto przy mnie i porozmawiajmy trochę — odezwała się pani Ciembronowiczowa wskazując córce miejsce obok siebie.

Luta zeszła wolno ze ścieżki, po której przechadzała się już dość długo głęboko zamyślona i usiadła przy matce na ławeczce ustawionej pod domem.

— Dawno już nie rozmawiałyśmy same z sobą — mówiła dalej pani Ciembronowiczowa — bo jak przyjechałyście z Basią, przyjechała też Bronia z Tuśką i jakoś tak czas leciał. A po tym znowu wszystkie myśli były koło tych biedaków na Podhalu, czy gdzieindziej.

— Prawda, mamo — myślało się tylko o tym...

— A teraz dziecko, o czym myślałaś, nim cię tu zawołałam do siebie? Chodziłaś taka zamyślona.

Luta zwróciła twarz w stronę matki, z trochę smutnym uśmiechem na ustach, odpowiedziała:

— Myślałam o tym, że prawie nigdy nie spełniają się dziecięce sny i marzenia...

— Pamiętasz, mamo — kontynuowała — jaką bajeczką płaciłam ci za legendy i bajki, które mi opowiadałaś dawno — dawno; wtedy, gdyś jeszcze nie musiała iść na cały dzień z domu, aby nam, dzieciom, niczego nie zabrakło?

— Pamiętam... Z poważną i niezmiernie pewną siebie minką — mówiłaś: Wiesz mamusiu, jak dorosnę, to będę wielką panią i będę mieszkała w wielkim, pięknym zamku. A w ogrodzie będą rosły same białe róże — dużo, dużo róż... i jak ty mamusiu przyjdziesz do mnie, to wszystkie największe i najpiękniejsze pościnam dla ciebie...

Głos pani Ciembronowiczowej drżał lekko przy ostatnich słowach...

— Widzisz, mamusiu — Luta pogładziła pieszczotliwie ręce matki, leżące na kolanach — o czym to marzyło dziecko. I nawet przez myśl mu nie przeszło, że kiedyś, gdy dorośnie nie tylko nic ci nie da, ale...

— Nie mów tak Luto — przerwała pani Ciembronowiczowa. — Powiedz mi raczej, jak się czujesz teraz? Czy uspokoiłaś się w tamtych stronach u Basi, czy też...

— Nie złamało mnie cierpienie mamusiu i zdaje mi się nawet, że było mi potrzebne — uśmiechnęła się serdecznie do matki.

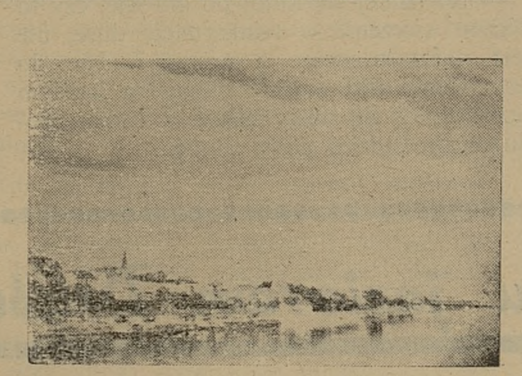
— A widzisz, dziecko — ucieszyła się pani Ciembronowiczowa — już jest ci lepiej, a z latami będzie jeszcze lepiej... Widzisz... nigdy nie trzeba wątpić!

Przez twarz Luty przewinął się jakby błysk szczęścia. Zamajaczyły gdzieś w dali białe, niezapisane karty...

— Tak, mamusiu — nigdy nie trzeba wątpić!

— — — — — — — —

Z lewej strony białego klasztoru Bernardynów biegły dwie drogi: jedna poważna, szeroka wśród olbrzymich, zasobnych w lata klonów i jesionowych drzew, skręcała niedługo w bok i pięła się coraz



Fot. J. Lasho

Plusk srebrnych fal

Plusk srebrnych fal — i cisza —
w rannym przedświcie zorzy,
wiatr strąca szklane gwiazdy
ponad Pomorzem...

O, fale, fale Wisły
płynące brzegiem rzeki —
o, ziemio przyciszona smutkiem
przeszłości dalekiej. —

Już gaśnie sierp księżyca
ponad smugą złotą —
Cicho — to morze usypia
na żaglach tęsknoty...

Toruń po rdzawych arkadach
rozszeptał balladę,
pieśnią dzwonów spiżowych
dzieje rozpowiada...

Zadumał się, zamyślił
gród Czarnego Tura...
zgasło słońce,
zmierzch zapadł —

zawisł mroczną chmurą
wieczoru —
i spłynął w błękitne pasma
— — tucholskiego boru...

Józef Baranowski.

wyżej i wyżej aż do kościoła Ukrzyżowania, stojącego na rozległym placu, wyłożonym wielkimi kamiennymi taflami. Druga, znacznie węższa szła jakiś czas przytulona do klasztornych murów, aby się po tym werżnąć w czarną ścianę świerkowego lasu i skręcać przedziwnie, to wznosić w górę, to spadać w dół i sunąć dalej i dalej milową wstążką ciągle w obramowaniu poważnej ciemni drzew. W jednym tylko miejscu świerki, jak gdyby zawsty-

— Czy nie zdawało ci się nigdy Luto, że już raz kiedyś żyłaś? — spytała Basia opierając głowę o kamienny cokół.

— Owszem.

— Bo ja, ile razy tu jestem — mówiła dalej Basia nie czekając na obszerniejszą odpowiedź Luty — tyle razy mam wrażenie, że kiedyś, kiedyś, gdy na naszej ziemi było jeszcze więcej puszcz, niż miast — chodziłam poważnym krokiem, przybrana w długą, białą szatę po takim oto „uroczysku" karmiąc święte węże i pilnując pod takim oto dębem — olbrzymem, płonącego znicza".

— O, to bardzo możliwe, Basiu! — roześmiała się Luta. — Bo i teraz jeszcze chodzisz krokiem westalki i o zakochaniu się wcale nie myślisz.

— Nie śmiej się Luto, bo kto wie, czy to śliczne wierzenie w reinkarnację dusz, nie jest najprawdziwsze z wierzeń?. Nie do pomyślenia jest przecież, żeby za każdym razem, gdy się nowy człowiek rodzi, produkowano gdzieś nową duszę...

nasza religia, jest tu, wszędzie wokoło nas...

— Nad miejscami złych, czy dobrych swoich czynów krążą sobie duchy prześwietlone szczęściem, lub czarne, jak noc od rozpaczy... Bo powiedz, trzeba innego nieba, jak radość duszy, która zrobiła przed odejściem wszystko, co było do zrobienia? — Lub straszniejszego piekła od myśli, że mogło się zrobić dużo, a nie zrobiło się nic.

Basia wzdrygnęła się mocno:

— O, aż mię dreszcz przeszedł. — Wolę stanowczo moje wierzenie... Doskonali się dusza coraz to w innym ciele i przynajmniej nie cierpi...

— Jakto, Basiu? A gdy ją za jakąś przewinę w pierwszym życiu tchną w drugim w ciało zwierzęcia?

— No, w takim razie, to już nie wiadomo co woleć! — zaczęła się śmiać Basia.

— W takim razie — przestaniemy się zastanawiać i pójdziemy do domu. Mama

Nad pełnym uroku jeziorem Dryświaty

na czarującej swą egzotyką Wileńszczyźnie toczy się pełna emocji i zarazem romantyzmu akcja naszej nowej powieści p. t.

Duch Nocy

Subtelna nić wielkiej miłości snuje się poprzez spokojne życie w wiejskim dworze, a dwa wydarzenia, jedno wstrząsające: pojawienie się Ducha Nocy, i drugie radosne: pobyt wojska — stanowią jakby punkt wyjściowy dla arcyciekawej akcji naszej nowej powieści p. t.: Duch Nocy, której autorką jest Ema Violetta, Indianka.

Druk tej powieści rozpoczniemy w następnym numerze „Moich Powieści".

dzone swoją skromną szatą, pozostawały w tyle, a zachwyconym twoim oczom zjawiało się jakby stare, pogańskie „uroczysko".

Droga tutaj rozszerzała się znacznie i nikła, bowiem wieczny cień, który rzucało kilka ogromnie starych, rozłożystych dębów, powlókł ją trawą i mchami.

W środku, pod najstarszym i najrozłożystszym dębem — stał teraz kamienny krzyż na wysokim cokole, ale mimo woli przychodziło ci na myśl, że ongiś, przed wiekami — stała pewnie na tym samym miejscu pogańska „gontyna" i strzegły „znicza" dziewice poświęcone bogom.

Dalej za przedziwnie uroczą polaną, czekały cię znów dwie długie ciemne, ściany świerków.

Basia i Luta zawędrowały dzisiaj aż tak daleko. Za parę dni miały znów stąd odjechać, więc odwiedzały wszystkie znane i lubiane od najmłodszych lat miejsca.

Dzień rano chmurny, poweselał. Słońce śmiało się co chwilę z białych, świetlistych obłoków, które na próżno starały się unieruchomić ciepłe promienie, suszące przemokłą tylu deszczami ziemię. Niewielki wiatr targał misternie wycinanym listowiem dębów; gwarzył w ciemnych gałązkach świerków pomagał słońcu spijać kałuże szpecące jeszcze tu i ówdzie drogę.

— Masz niby rację — ale powiedz, czy nie zdawało ci się nieraz, że pełno wokół ciebie jakichś postaci, jakowychś głosów tajemniczych? Że w pewnej chwili przewionął koło ciebie duch pełen szczęścia? To znowu — tak ci się z niczego — smutno na duszy zrobi, jakbyś słyszała jęk ducha, któremu jest źle...

— Brr! To jakiś spirytyzm, Luto. — Ale ostatecznie wszystko możliwe, bo któż z nas wie, jak jest w rzeczywistości?

— Tak, któż z nas naprawdę wie? — powtórzyła Luta. — Ale ja myślę, Basiu, że owo niebo i piekło, o którym mówi



Wspomnienie z jesiennego polowania.

tam pewnie nie w humorze, bo obiad wystygł — powiedziała Luta wstając.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Pociąg dojeżdżał do niewielkiego przystanku stacji kolejowej.

— Jest Jasiek z końmi — powiedziała Basia wyglądnąwszy oknem.

Za parę chwil siedziały już na wiejskiej bryczce. Chłopak układał walizy i paczki z tyłu za siedzeniem.

— Jaka droga, Jaśku? Pewnie zła? — pytała Basia.

— Pojedziemy przez góro, prose pani. Dołem kole wody, droga do cna zepsuto; majo dopiero naprawiać.

Bryczka ruszyła.

Po kwadransie drogi przez małe miasteczko, bryczka poczęła się piąć w górę; Basia i Luta zeszły, aby ulżyć koniom. Szły równo z wolno idącymi końmi, słuchając opowiadań młodego parobka o tym, co tu widzieli... co przeszli...

— Jak przejedziema wirch te góry — zobocy pani co porobiło... A późni w naski wsi — mówił Jasiek.

Za chwilę droga weszła w wysoki, bukowy las.

Zniżające się ku zachodowi słońce, siało przez gałązki i liście przeróżne jasne kreski i kropki na ciemną, wilgotną drogę. W po-

wietrzu unosił się orzeźwiający zapach świeżych, zielonych liści.

Jechali dalej wolno, bo teren ciągle jeszcze podnosił się w górę. Następnie droga poczęła opadać coraz niżej, niżej.

Las liściastych drzew urwał się po chwili z jednej strony, — niedługo i druga pozostała w tyle i zza pierwszego skrętu, rozciągnął się szeroki widok na Dunajec.

Wszystko, co się słyszało i wiedziało o powodzi zmalało do zera wobec tego, co przedstawiło się oczom:

Środkiem olbrzymiej, daleko w obie strony usypanej ławy kamieni i piasku, błękitniał najspokojniej Dunajec. A dalej, aż po stoki lesistych pagórków, straszne, szare, pomulone pola — i domy na wpół zwalone, obite z wapna, w przekrzywionymi strzechami, niby gnijące, zmurszałe od starości, grzyby...

Miejsc, z których szalejąca woda zmiotła wszystko, całe chaty wraz z zielonymi sadami — nie rozpoznałbyś za nic... Wszędzie jednak, martwa, wygładzona równiutko przestrzeń...

I miało się wrażenie, że Podhale jest po pogrzebie... Spotykani ludzie kłaniali się tym samym starodawnym zwyczajem: ruchem ręki do kolan — chwalili tak samo Boga, tylko z twarzy znikł dawniejszy uśmiech — tylko na ustach zastygła piosenka tak często tu dawniej śpiewana...

Droga zniżyła się całkiem.

Bryczka wjechawszy na gościniec, po którym tak niedawno szły rozhukane wody, zaczęła podskakiwać niemiłosiernie, telepać się na wszystkie strony.

— Boże! Jakie tu straszne zmiany... — szeptała Luta patrząc rozszerzonymi od grozy oczyma na zmieniające się w miarę jazdy widoki. Oto teraz jadą koło niewielkiego wiejskiego cmentarza. Ubożuchne były zawsze tutaj smutne wzgórki, ale przecież każdy zielona darń stroiła i znaczył krzyż z białego pnia brzozy zrobiony. Teraz... znikło gdzieś wszystko... I nie poznałbyś pewnie, że tu umarli leżą, gdyby nie maleńka, cmentarna kapliczka i parę kamiennych krzyżyków, walających się w błocie... Drewniane zabrała z sobą woda...

A teraz oczy biorą w siebie przesmutny widok drzew przegiętych pokornie do ziemi w stronę, gdzie pędził groźny żywioł... Trwają tak jeszcze dwa szpalery krasnych jarzębin sadzonych skrajem gościńca... Nie śmią podnieść schylonych głów wierzby... A wiotkie, nadbrzeżne łozy — tarzają odarte z zielonych listków gałązki w mule i błocie...

Zda się widzisz jeszcze mściwą, nieubłaganą dłoń wymuszającą ten straszliwy pokłon na krzach i drzewach i strojącą je po tym, jakby na urągowisko w żałosne festony pełnych kłosów...

Po obu bokach drogi — tak, gdzie rwały oczy zboża przetykane makami, — opustoszała szara ziemia... Gdzieniegdzie tylko ciągnie się długie pasmo słomy, lub drży nieśmiało tuż nad ziemią wątła główka koniczyny.

— Popędzaj, Jasiek — odezwała się Basia, wzdrygnąwszy się całym ciałem. — Chciałabym, abyś już był w domu...

Luta siedziała jak ogłuszona. To, na co patrzyły jej oczy, kojarzyło się przedziwnie z tym, co przeżyło niedawno jej serce. Tak samo przyszła skądś nieprzeczuwana fala nieszczęścia — tak samo zniszczyła, zmiotła wszystko, co było radością i uśmiechem...

Taka sama martwota i pustka panowała teraz w jej sercu...

I tak samo, jak ta podnosząca się z mułu główka koniczyny na pustym ugorze — podnosi się w jej duszy nadzieja, że przecież tak nie pozostanie!...

Że tak, jak tu na tych smutnych łanach pojawi się jeszcze przed zimą zielona ruń oziminy, tak rozpali się w jej sercu wielkie, zrodzone z ogromem pragnienia, umiłowanie...

Bo złe nigdy nie trwa wiecznie... A czasem na to tylko przychodzi, aby nam ciało, czy duszę podnieść z nędzy!

— — — — — —

Na drugi dzień ludzie dowiedziawszy się, że „pani" przyjechała — poczęli ciągnąć do szkoły. Tyle mieli teraz użaleń różnych, tyle opowiadań, tyle łez na swoją stronę...

— Ni mom w cem prose pani posłać chłopaka do szkoły — skarży się przystojna, w średnim wieku kobieta, całując Basię w rękę. — To, co miół, zdarło się do krzty — opowiada. — Myśloł cłek: zbierzema z pola, to na jesieni kupi sie jakie porcięta i jaki kabot... Teroz, jakze sie kupi? — rozkłada kobieta bezradnie ręce.

— Do skoły go chcę posyłać — mówi dalej — bo ino do nauki głowę mo, ale cóż? W chałupie wdzieje mojo bluzko i jest — ale do szkoły, przecie nijak nie wypodo w babski przyodziewie... Bo prose pani, to to jest tak: Downi nie było ze mną bidy. Chłop był w Ameryce, tu jo gospodazyła na dziewinciu morgach. Ale jak chłop za wody wrócił, wszyćko się zepsuło: sprzedać i sprzedać rolo...

— Jakoś ty babo głupio — przekładoł mi; bo bede na tym harowoł jak koń? — Sprzedom i niech piniądze na mnie robio, nie jo na piniądze!...

— Rozrodzałam mu, godałam, że nie dość, ze nic nie dokupi, to jesce ojcowizny bedzie się pozbywoł? Przecie to wstyd i hajba!

Nie mogło nic, sprzedoł swoje sztyry i pół morga. Potem się rozpił i umarł; tyle miół...

Kobiecina siedzi chwilę w milczeniu. Po tym opowiada dalej:

— Jo na swoji połówce ostała. Było gorzy, ale jescy wielgi bidy nie było... Wprowdzie po tych pagorkach i paryjach scyro glina, a co rusys motyką, to kamiń; ale za to na nizinie wszyćko piknie rosło...

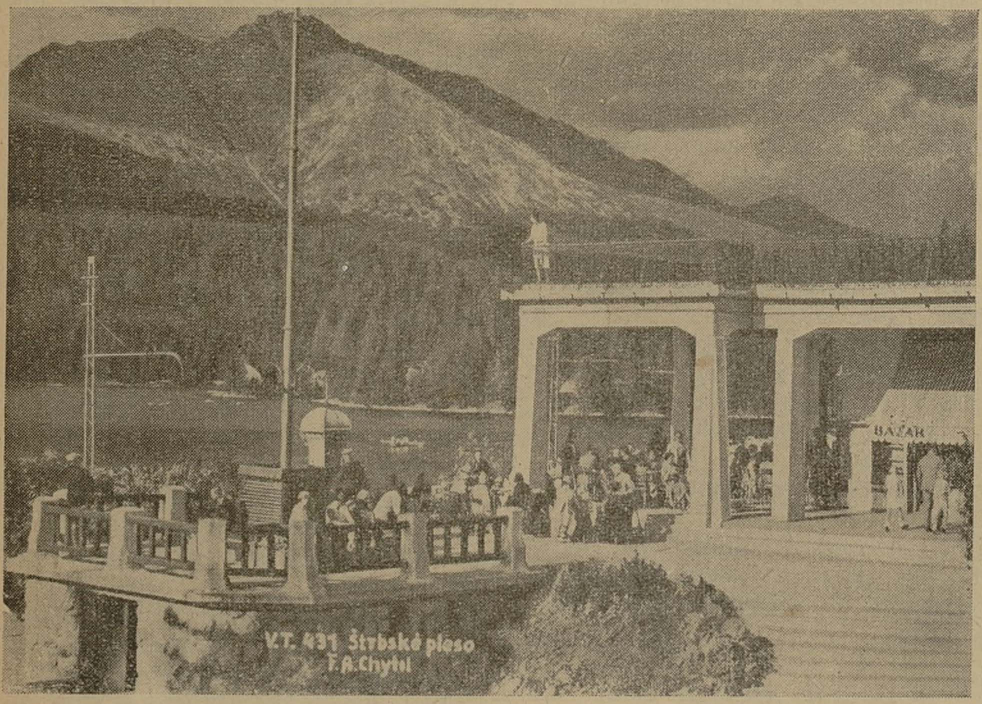
— Zimioki zawsem miała, a jak prose pani są zimioki, to już bidy nima! Zimioki mozno i dwa razy na dzień jeść!

— Jak dzień w zimie krótsy — rozgadała się babina na dobre — to roz się ich ugotuje o dziewiąty, drugi roz o cworty i poje się. O, jak sie zimioki mo, to bidy nima!

— I tegu roku bym nie nazykała, zeby mi zimoków nie zniścziło...

— A takie piękne były, nad podziw!... — Groch tyz taki porósł, aż miło... Cheba na to, zeby clowiekowi wincy żol było...

Czarną, spracowaną ręką bierze kobieta róg fartucha i ociera załzawione oczy.



Szczyrbskie Jezioro po słowackiej stronie Tatr, z powodu swego uroczego położenia ściąga wielu turystów i letników spragnionych słońca i odpoczynku.



W jednym z najpoczytniejszych dzienników paryskich „Paris-Soir" ukazał się ostatnio artykuł pt. „Polski raj śnieżny", omawiający zbliżające się mistrzostwa narciarskie FIS. w Zakopanem. Autor artykułu podał szczegółową charakterystykę miejsca zawodów. Do artykułu dołączono mapę Zakopanego i okolic z podaniem miejsc przyszłych zawodów. Powyższe zdjęcie przedstawia skocznię narciarską na Krokwi w Zakopanem podczas budowy.

— Straśnie zło była woda, prose pani... Straśnie zło... Miałam na jednym kawałecku zagon buroków dlo krowiny — to im nic wiela nie zrobiła, a zimioki wszyćkie do dna spłukała. A do grochu to tak naprała kamini, siutru... przywaliła... zniściła...

Po twarzy kobieciny poczynają się toczyć wielkie łzy...

— No nie płaczcie Muszyna, dajcie spokój — pociesza kobietę Basia. — Postaramy się, aby Wojtek miał na zimę ubranie, a wy, pewnie też dostaniecie ziemniaków!

— — — — — —

— Takie huki były, prosę pani, ze nima rady! — opowiada inna kobieta Basi i Lucie o tej najstraszniejszej nocy, w której nadeszła największa woda.

— A niewidok był, ze chociozbyś nie wiem, jak ocy wypatrywoł, nie zobacyłeś nic... ino ta woda wyła... hucała, ze nima rady... Naskie osiedle na pagórecku, ale i tak cłowiek nie społ... Co chwilo, ktosi z niźnich chałup uciekoł do nos...

— Bo za dnia, prose pani, chocioz mu woda do proga podchodziła, nimioł serca opuscać własnego dobra...

— — — — — —

Rozpoczęła się nauka.

Do szkoły przychodziły dzieci o jeszcze więcej zabiedzonych buziach i jeszcze więcej obdarte...

— Wiesz Luto, że ja sobie to wszystko daleko mniej strasznie wyobrażałam — powtarzała często Basia.

— Wszystko minie, Basiu — pocieszała ją Luta. — Jak ci tylko „dożywianie", o które pisałaś, poszlą — a po tym ubranka dla dzieci na zimę — to zaraz poweselejesz... Zobaczysz!

— Kiedy okropnie jestem przygnębiona tym wszystkim... Na przykład wczoraj — widok tego staruszka: Z całego dobytku zostało mu tylko parę na wpół rozmiękłych cegieł z pieca, które tak troskliwie biedak wykopywał i układał na kupki.

— I powiedz Basiu, ta woda, jakby specjalną złość na coś, czy na kogoś miała. Dom tego staruszka, o którym mówisz był przecież w lepszym stanie i stał dalej od tego nędznego domku nad brzegiem... a jednak ten nad brzegiem został, a ten dalej stojący, porwało...

— Albo drogi — przypomniała Basia — miękkie, boczne ścieżki zostały, a w kamienistej twardej drodze, powyrywało takie dziury!

— — — — — —

Sierpień się skończył.

Wrzesień, budzący na początku swoich dni obawą nowej powodzi, rozsłonecznił się w połowie, a że do prawdziwej złotej jesieni było mu daleko jeszcze, więc począł udawać jesień...

Bowiem nie były to już dni letnie, te dni, co rano budzące się mgły, w południe rozlewające słodki spokój w powietrzu, a nad wieczorem w płasko położonych promieniach słońca ujawniające srebrne nitki „babiego lata"....

A później jeszcze przy końcu ślicznego lata, poczęły ciągnąć pługi:

Jasna, ostra stal — naciskana przez schylonego nad nią oracza, zaczęła ondulować w piękne karby, pagórki i te śliczne, nizinne pola, po których przeszła niedawno nielitościwa rzeka.

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, znikła martwota z rozległych łanów. Na czarne, tłuste zagony wyszli dostojnym krokiem siewcy, deszczem złotym ziarna błogosławić ziemię...

Zmora, gniotąca piersi zsunęła się, znikła gdzieś...

Zjawił się na powrót uśmiech na twarzach. Poczęła się znowu nieść radosnym echem piosenka po obmotanych srebrną przędzą polach...

ROZDZIAŁ XXXVIII.

— No, ale się to dzieciska będą cieszyć! — mówi Basia, patrząc radosnymi oczyma na kupki ubrań, które przed chwilą porozkładały z Lutą na podłodze. — Ale to będą się radować!

— Powiedz Basiu — zaczyna filozofować również z radosnymi oczyma Luta — gdyby tak przed rokiem ukazał się był Pan Bóg jakiemu kmiotkowi tutaj tak, jak ongiś Mojżeszowi w krzaku ognistym i powiedział:

...Głodny jesteś — źle ubrany... tak samo dzieci twoje... Ale bądź spokojny; ześlę na twoją ziemię powódź i ta polepszy ci byt.

Kmiotek odpowiedziałby wprawdzie: — Bądź wola Twoja, Panie — ale myślałby na pewno: to żart ze mnie biednego...

— A przecież to nie żart!

— Powódź tu była, zabrała domy, poniszczyła zboża, osępiła serca bólem, a jednak minęło wszystko! I teraz zielenią się już wszędzie młodziutkie oziminy, budują nowe domy, a u kmiotka nie brakuje chleba i nawet tego, co było rzadkością przed powodzią: słoniny!

— Dzieci zaś jego?

— Powiedz Basiu, czy widziały te biedactwa kiedy płaszczyki obszyte futrem, lub śniegowce?

— Nie będą już dzieci brnęły w zimie w płóciennych bucikach na gumowej podeszwie przez zaspy śnieżne do szkoły nieraz parę kilometrów odległej... Nie będzie już „wiosna" głodna, bo chociaż nie zje w domu śniadania, to ją dożywią tu, w szkole!

— I nie będzie już Wojtek chodził w „babskiej przyodziewie" — kończyła Luta uśmiechem, choć miała pełne łez oczy.

— Tak — podjęła Basia — bo to, że zdarzy się jakiejś pani dać z jedwabnej borty kapelusz na powodzian, to nie znaczy nic. To kropla w morzu darów, rzeczywiście porządnych i potrzebnych.

O, patrz! Ten płaszczyk aksamitny, prawie nowy. Dam go tej małej Stasi, którą zeszłego roku na rękach ojciec musiał przynosić do szkoły, bo nie miało to ani butów, ani nawet ciepłej sukienki...

— O, a te „porcięta" będą dla Wojtka na gorsze, na „podomu" — a to ubranko, do szkoły — sortowała Basia dalej. — O, i jeszcze ta kurteczka z futerkiem koło szyi będzie dla niego.

— A te buciki narciarskie będą prawie na Olka i ten płaszczyk z śliczną kotwicą na rękawie — zdaje się, będzie dobry na niego...

— Basiu, a ten jasny płaszczyk i ta ciepła sukienka byłaby prawie na tę dziewczynkę, co się zawsze z takim ślicznym uśmiechem kłania...

— Acha, na Rózię. Dobrze — odłóż tam na osobną kupkę.

— Widzisz Basiu — zaczęła znów Luta — ile to serca w piersi ludzkiej? Tylko aby z tego coś było, potrzeba właśnie takiej, niezrozumiałej dla nas, głębokiej miłości Bożej...

— Widzę teraz — przyznała się Basia — ile my niepotrzebnych słów w życiu mówimy. Na przykład ja o tej miłości Bożej wtedy...

Basia podniosła głowę z nad porozkładanych dziecięcych ubranek i patrząc na Lutę wesołymi oczami, powiedziała:

— Za te kupki, które tu leżą, a które mi tyle radości sprawiły... i tyle jeszcze spra-

Ciąg dalszy na stronie 113.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

MGŁA

Nad torfowiskiem, ponad łąkami
w bieli podniosła się sina mgła.
I uroczyście, świat tuląc łzami,
ku oknom moim ścierniskiem szła.
Zadumy pełna, w wieczorną ciszę
kroczy jesienią od wielu lat,
czasem się w górze łzą zakołysze
i idzie dalej otulić świat.
Czasem przystanie na odgłos dzwonu,
co w ciszę wioski po rosie biegł
i gdzieś daleko, już pewien skonu,
na wodzie stawu melodią legł.
A potem znowu ku szczytom chaty
wspina się bielą żałosna mgła.
Tak, jak chodziła dawniej, przed laty,
dziś do mych okien polami szła.
Nad torfowiskiem, ponad łąkami
wznosi się co dzień nad tonią fal
i świat zalewa łez oparami
i płynie cicha w bezmierną dal.
I chociaż co dzień tu przez ścierniska
powoli płynie, spowita w mrok,
jest mi i była i będzie bliska,
wczoraj i dzisiaj, jutro, za rok!

Cecylia Pawlikowska.

DOBRE RADY PANI ZOFII

ROZMYŚLANIA

Na drutach telefonicznych
wiatr gra serenady
i tłucze się do okien,
niby upiór blady.
W pokoju mym jest cisza,
która w uszach dzwoni
i tylko deszcz za oknem
łzy drobniutkie roni.
Siedzę sam, zasłuchany
i myślę o tobie:
o tym wszystkim, co prysło
i o szczęściu niebie!
Czy to wróci znów do mnie?
Daremne pytanie.
Smutek jest dzisiaj ze mną —
gardło dusi łkanie.
Nie! To już nie wróci,
to się nie odstanie.
Szczęście raz zagubione —
nie wraca, mój panie!

Adam Czekalski.

PRZYPOMINA BAJKI CUDOWNE

„Biały Wrzos". Mam przed sobą na seledynowym biurku dwie szare koperty z czerwonoczarną nalepką „expres". Patrzę na nie z dziwną mieszaniną, wzruszenia, zdziwienia, radości, niewiary i znowu radości, a dominuje w niej tkliwość.

Jak to, więc są jeszcze takie szalone serca i dusze, co potrafią zapłonąć nagłym, a silnym siostrzanym uczuciem do osoby dalekiej, absolutnie nieznanej i ukochać ją bez zastrzeżeń? Myśleć o niej, wspominać ją stale i tak cudownie, tak nieodparcie prosić ją do siebie? Boże Drogi! To jest wręcz fantastyczne! I jak to człowieka „rozkrochmala", jak przypomina mu dziecinne, cudowne bajki o złotych ptakach, które nadlatywały nad ciche dachy ubogich chat i gubiły złote pióra.

A kto takie pióro znalazł, szczęśliwy był aż do pierwszego grzechu, którym było zwątpienie w realność tych piór.

Mnie się ta bajka spełniła — trzymam to złote pióro i nie chcę go stracić przez lekkomyślny grzech niedowierzania.

Wiem już, co uczynię! Otóż powieszę go na mistycznej gałązce choinki i gdy w Wigilię łamać się będę z bliskimi opłatkiem, cichutko westchnę do Najwyższego, aby spojrzał łaskawie na to cudowne złote pióro, na jego dawczynię i właścicielkę. Czy nie mam racji, Mój Ty słodki „Biały Wrzosie"?

Cieszę się tym złotym piórem, choć jego dawczyni nie mogę przyrzec, że spełnię jej życzenie. Jest to wszak zupełnie niemożliwe, choćby dlatego, że nie będę miała wakacyj w zimie, ani w ogóle przed latem.

A może bajka na tym zyska?...

Całuję Cię serdecznie i proszę napisz dużo, dużo... nie! napisz wszystko o sobie!

Komunikaty:

„P. Adam Czekalski. Dlaczego nie pisze Pan ostatnio wierszy? Lubiłam je, bo były takie inne!

„Młody Orle"! Odgadłam, kim jesteś — znam Cię!

„Samotna Konwalio"! Pozdrawiam i proszę, nie bądź samotną!

„Wędrowny Trubadurze"! Masz swojego sobowtóra — mocny uścisk dłoni!

Wszystkich „Krainiaków" pozdrawiam!



„Maleńka Halszka" śle nam kapryśny nieco uśmiech

SKRZYPKI

Grajcie skrzypki tęsknie, tkliwo,
to co w sercu, to co w duszy,
może słysząc piosnkę żywą,
dziewczęce się serce wzruszy,
może słysząc wasze tony,
zawodzące i płaczliwe,
pierś westchnieniem się poruszy
i dwu serc uderzą dzwony
zgodnie... wzajem żałośliwe...

Jan Halny.

MIŁO MI POWITAĆ CIĘ W „KRAINIE"

„Litwinka". Ależ z ochotą przyjmuję Panią do naszego grona. I to z tym większą ochotą, że jesteś czytelniczką „Moich Powieści" od początku. Tak mi miło powitać Cię wreszcie w tej „Krainie", której życie śledziłaś zawsze tak pilnie i którą znasz lepiej od niejednej nowej „Krainianki".

Moim życzeniem najgorętszym jest, abyś znalazła pełne zadowolenie w kontakcie z „Rodzinką".

Wierszyk Twój ma oryginalny temat, dlatego zamieszczam go bez większej uwagi na różne niedociągnięcia poetyckie. Ten drugi poszedł na całopalenie.

Pozdrawiam b. serdecznie i przechodzę do komunikatów:

„Szara Niedola"! Przyjm ode mnie serdeczne współczucie. Napisz, Siostrzyczko, do mnie i proszę nie poddawaj się losowi, gdyż to tylko Cię upokorzy. Byłam w podobnej sytuacji, a może nawet w gorszej. Straciłam najdroższych i wszystko. Dziś, dzięki wytrwałości, wiedzie mi się nienajgorzej. I mam to zadowolenie, że wykułam sama swoją dolę.

„Samotny Wędrowiec II". Może od Ciebie przywędruje do mnie list?

„Błękitny Rycerzu"! Dlaczego nie odzywasz się w „Krainie"?

„Żymełko"! Czy mieszkasz w Wierzchosławicach pod Gniewkowem? Jeżeli tak, to powinnam Cię znać. A może ktoś inny z „Krainiaków" napisze do mnie, odpowiedź dam na pewno. Gdyby tak „Samotny Chorzów I". Imponują mi wąsy.

Mój adres: „Litwinka" Gniewkowo p. Inowrocław, poste restante.

SZCZĘŚCIA I POMYŚLNOŚCI!

„Zawierucha". Cieszy mnie, że jesteś zadowolona ze swoich przyjaciółek z „Krainy". Wierszykami miał zająć się Wujek Janusz.

Życzę Ci, abyś przeżywała jedno pasmo pomyślności w nowym swym życiu, zaś w sercu cichą pielęgnuję nadzieję, że nas nie opuścisz i nie zaniedbasz. Przyrzekasz nam to?

Całuję Cię i zamieszczam komunikaty:

„Halo! „Burzo" — dziękuję za liścik — całuję ślipki.

„Czarny Piracie" — „Stary Włóczęgo" — znam burze morskie i ich taniec, a czy nie zechciałbyś „pohulać" listownie z lądową „Zawieruchą"?

„Chochliku" i „Wilnianko" — serdecznie pozdrawiam koleżanki „po fachu".

„Złoty Jaśminie" — i o czym tak dumasz? Uważaj, bo cię „Zawierucha" porwie za czuprynę. Wszystkim Kochanym „Krainiankom" i „Krainiakom" dużo miłych uśmiechów śle „Jesienna Zawierucha".

ODPISUJĘ RÓWNOCZEŚNIE

„Burza". Odpisuję Ci na wszystkie listy razem, bo nie mogę znaleźć dość miejsca i czasu na pojedyńcze odpowiedzi.

Fotografia Twoja ładna — idzie w „Krainie".

Nie zapomniałam o Tobie, czego dowodem dzisiejszy list. Wierzysz mi?

Dziecino, niebardzo wierzę w takie przemożne uczucie na milcząco. W ogóle w tej materii trzeba by dużo mówić i obawiam się, że wszystkie roztrząsania jeszcze by nas nie upewniły całkowicie, czy mamy rację lub nie.

„Zawierucha"! Moc najlepszych życzeń, różowej przyszłości z okazji Twych zaślubin przyjm ode mnie. Modliłam się za Ciebie i za ukochanego w dn. 13 XI.

„Uśmiech Szatana" Dziękuję za przemiły list. odpiszę niebawem. Pa!

„Kropelka leśnej rosy". Ja również znam Garczyn. Łączy mnie z nim dużo miłych przeżyć z obozu P.W. Prawda, że jezioro zachwycające, i lasy... dzikie pola... ale to było już dawno.

Pozdrowienia dla Was wszystkich śle „Burza".

MOJA ŚWIĄTYNIA

Mam ja swoją świątynię dumania,
Gdzie spędzam wolne chwile,
Od wiatru gaj ją zasłania,
Od słońca chroni kalina.

U stóp przepływa rzeczułka maleńka,
Nieznanej mi nazwy i pochodzenia —
Ślicznie mieni się w kolorach od słońca,
Ja dałam jej nazwę „Basieńka".

Miałam w zwyczaju, siedząc w świątyni,
Rzucać na Basię kwiaty kaliny,
One ją stroiły, odchodząc w dal,
Teraz mi kwiatów kaliny jest żal.

Teraz choć jeszcze promienie słońca
Spijają srebrne rosy co dnia,
Chociaż tuż w gaju ćwierka ptaszyna,
Już się różowią na kalinie grona.

Już na kobiercu zakwitły wrzosy,
Pszczółka z nich nektar jeszcze spija,
W przezroczu błyska nić pajęczyny —
Zmieniła się, moja świątynia.

„Litwinka".

LUBIĘ CIĘ!

„Góraleczka“. Nie gniewam się absolutnie na Ciebie za tę prośbę i donoszę Ci, że wszystkie listy skonfiskowałam. Czy jesteś zadowolona? To dobrze!

Prenumeratę „Moich Powieści“ masz opłaconą do października włącznie, a „Mojej Przyjaciółki“ do września włącznie. Postaraj się uregulować zaległości.

Lubię Cię, Dziewczynko, i to już nie ulega wątpliwości.

Pozdrawiam Cię serdecznie i życzę pomyślności!

„Złoty Jaśminie“, ślę pozdrowienia, jak się czujesz w „Krainie“?

„Ilar IV“. Za pozdrowienia bardzo dziękuję. Może Pan coś napisze o sobie... adres mój znajdzie się na pewno w redakcji. Na razie do widzenia!

Halo... „Góralka II“... nie smuć się „Siostrzyczko“, skrobnij coś do mnie... Pa. Maleńka i nie zapomnij!

„Marteczko“ może i Pani przyjmie pozdrowienie ode mnie.

„Marzyciel Mulforda“, czy znalazł Pan już swój „ideał“?

Wszystkim „Krainiankom“ ślę dużo pozdrowień z gór!“

WKRÓTCE!

„Pantera“. Przyjmuję Panią do naszego grona z myślą, że podbijesz sobie wkrótce wszystkich członków „Krainy“. Masz tyle lekkości i wdzięku w sposobie pisania i taka jesteś ujmująca, że z miejsca zdobywasz sympatię.

Myślę, że nie bardzo muszę wyjednywać dla Ciebie przychylność u swych pupilów, bo oni sami się do Ciebie zwrócą. Czuję to!

Pozdrawiam Cię i zamieszczam komunikaty: Halo! „Wytworny Włóczęgo“, „Przybłędo Leśny“, „Fred“, „Pell“, „Młody Orle“; „Wład“, „Taddy“, „Odyś“, pseudonimy Wasze przemawiają mi do przekonania i serca, napiszcie — czekam. Piszcie mili „Krainiacy“, odpowiedź murowana, sądzę, że będziemy zadowoleni.

„Blady Kwiat“. Czemu smutek taki wieje?

„Amerykanin“. Miałam zamiar napisać, zrób to pierwszy — pozdrawiam.

Mój adres: Lutosin, poczta Bieżuń.

OWSZEM

„Jadwiga Limba“. Jak dzielną jest Pani, mimo niejednej burzy, co dotknęła Twych barek i silnych dłoni, nie zdoławszy ich złamać, a tylko osmoliwszy trochę ogniem i zahartowawszy — mam dla Pani ogromny szacunek.

Z przyjemnością wliczam Cię do szeregów naszej „Rodzinki“, a to, że jesteś trochę starsza od ogółu krainiackiej braci, nie stanowi najmniejszej przeszkody w naszej z Tobą przyjaźni. Zwłaszcza, że jesteś tak pełna dowcipu i humoru.

Nowelę Twoją wydrukujemy w roku przyszłym, a wierszyki oceni w najbliższych tygodniach Wujek Janusz.

Owszem, możesz przysyłać nam swoje nowele do oceny, a także owe fragmenty powieści. Będzie mi miło, gdy będę mogła Ci donieść, że pracę nadesłane są dobre.

Życzę Ci Wesołych Świąt i zamieszczam Twój wesoły apel:

„Starsza panna — typowa drypcia — niegrzesząca zbytnio urodą, domatorka, „przedwojennych“ zasad, rozmiłowana w literaturze — pragnie pogwarzyć na odległość. Z podobną sobie istotą — starą panną — samotnicą w pustyni ludzkiej — albo też ze starym kawalerem — (od trzydziestki) pustelnikiem, odludkiem, wrogiem kobiet, zakisiałym śledziennikiem, czy innym dziwotworem...

Czy, która z „Krainianek“ i „Krainiaków“ odezwie się na apel podobnej istoty? Wątpię.

Przesyłam równocześnie słowa uznania dla pana Józefa Baranowskiego i dla Pani piszącej pod pseudonem — „A. E“. Jej wierszyki — to już jest najprawdziwsza poezja! (nieżyjąca poetka — przyp. redakcji.)

Dla wszystkich młodziutkich wiosenek — pozdrowienia.

ZAWIADAMIAM

„Inkub“. Przyjmuję Pana do „Krainy“ i spieszę wyrazić swe zdziwienie, że nie powiem oburzenie, iż znalazłeś tak cennego acz nieścisłego informatora w kimś z „Krainiaków“. Otóż proszę przyjąć do wiadomości, że w naszym wydawnictwie nie ma ani jednego pracownika pochodzenia niearyjskiego. Nazwisko nie dowodzi tu niczego. Przyznasz Pan sam, że mamy w Wielkopolsce i na Pomorzu dużo rodzin o obcym brzmieniu nazwisk, co absolutnie nie dyskwalifikuje ich jako Polaków. I równie dobrym jest Polak Schmidt, Schumann, jak Kowalski, Dobrzyński i inni.

Rozumiem Pana niepokój i dlatego odpowiadam na Jego pytanie, choć nie powinnam raczej tego czynić z uwagi na to, że nie podałeś swego właściwego adresu, co mnie uprawnia do pominięcia zarzutu milczeniem. Ale nie chcę tu milczeć, bo po co masz mieć dalej te wątpliwości.

Czekam na dalsze wiadomości o Tobie, a na razie zasyłam pozdrowienia i zamieszczam apel:

„Halo! Jako nowy członek „Krainy“, zwracam się z apelem do pięknych „Krainianek“ o miłe liściki. Odpowiedź żel-betonowa.

Listy proszę kierować pod: Poznań 9, poste — restante „Inkub“.

MOŻNA!

„Samotna Blondyneczka“. Przyjmuję do „Krainy“ tę nową naszą sympatyczkę i proszę wszystkich członków, aby z miejsca okazali jej siostrzano - braterską przychylność.

Bardzo Cię lubię, Dziewczynko, i czuję, że będziemy żyć w wielkiej przyjaźni.

Owszem prenumeratę możesz opłacać kwartalnie z góry, a nawet półrocznie i rocznie. Pismo chyba otrzymujesz bez przerw?

Na poprzednie listy nie będę Ci już odpowiadała, a za to dłużej pomówię z Tobą w odpowiedzi na te, które nadejdą — zgoda?

„Słoneczna Jasieńko“. Kocham Cię już teraz bardzo. Żałuję tylko, że dzieli nas tak wielka odległość.

Moc serdeczności przeznaczam dla: „Smutnej i Brzydkiej Irki“ i „Dziewczynki z zaklętego młyna“ — która z Pań obdarzy mnie miłym liścikiem? Nie mam odwagi pisać pierwsza — czekam!



„Szara Fala“, która tak poważnie patrzy w tej chwili, zwraca się do nas z takim oto gorącym apelem:

„Kochane Siostry i Bracia! Od dłuższego czasu żyję, smucę i cieszę się z Wami i tak dobrze, tak swobodnie się czuję w Waszym miłym otoczeniu rodzinnym. I myślę, że zdołacie wybaczyć mi to, iż tak rzadko piszę do Was. Ale wiedzcie, że sercem i myślami zawsze jestem z Wami! Wielką prośbę mam też do Was, abyście pamiętali o mym smutnym i często kroć opuszczonym sercu i tak chciałabym, aby dusze nasze oplotła prawdziwie braterska miłość, a dłonie wszystkich zwarły się w przyjaznym uścisku zrozumienia.

Halo! „Marzące Oczy“, Dziewczynko Droga, ależ z przyjemnością! Napisz, proszę — pozdrawiam i czekam!

„Stefciu i Marysiu“. Cieszę się bardzo, Milutkie Dziewczynki, Waszą pamięcią o mnie. Dziękuję serdecznie — może napiszecie? „Uranie“, przyjm, proszę, wiele życzliwych słów i serdecznych pozdrowień. — „Obserwatorze“, często bywam w Gdyni. Mieszkamy niedaleko siebie. — „Marzycielowi Mulforda“, „Małej Konwalijce“, „Smutnej Iwonce“ oraz całej „Krainie“ z Panią Zosią i Wujkiem Januszem na czele wiele przyjaznych uśmiechów i serdeczności. Ktokolwiek interesuje się moją osobą i ma ochotę, to proszę bez wahania napisać. Odpowiem na każdy list. Pa!...“

Pozdrawiam „Nieszczęśliwą Niniusię“ oraz K. Junoszyca.

Halo! — „Wład“ będę niedługo w Poznaniu. Czy mogę liczyć na Pana, jako przewodnika? Proszę o słów kilka, adres mój u Pani Zosi.

„Uśmiech Szatana“! Dziękuję za przemiły list, odpiszę niebawem. Pa!

„Kropelka Leśnej Rosy“. Ja również znam Garczyn. Łączy mnie z nim dużo miłych przeżyć z obozu PW. Prawda, że jezioro zachwycające?

Dla wszystkich „Siostrzyczek“ i „Braciszków“ z „Krainy“ przesyłam promienny uśmiech“.

WSZYSTKO ZAŁATWIONE

„Zosia Wołynianka“. Dobrze zaadresowała Pani swój list ostatni, jak zresztą i poprzednie, na które jedynie dlatego nie otrzymałaś odpowiedzi, że nie nadeszła jeszcze ich kolejka.

Ten załatwiam poza kolejką z uwagi na larum, jakie Pani podniosła. Kochana jesteś z tą swoją niecierpliwością — widać, że naprawdę zależy Ci na tym, aby jak najprędzej wejść do naszego grona. Więc czuj się w nim odtąd jak w najbardziej swojej rodzinie i wynieś dużo radości ze współżycia z nią!

Sprawę administracyjną pilnie zleciłam paniom z administracji i sądzę, że jest już załatwiona należycie. Poinformowano mnie, że wina leży po stronie poczty i wysłosowano tam reklamację.

List Pani wysłałam pod właściwy adres.

Życzę Pani wszystkiego najlepszego na zbliżającą się Gwiazdkę i oznajmiam, że oczekuję owego przyrzeczonego listu, który ma być obszerny i wyczerpujący w wiadomości o Drogiej Pani.

CO UCZYNIĄ WRÓBELKI?

„Wit z Poznania“. „Ona winna i on trochę winien“ — Mój Ty przemiły Chłopcze, lecz rzeczywiście nie będziemy już tego wciągali w rejestr. Grunt, że mam już ten Twój cenny adres i że (to ważniejsze!) mogę pogwarzyć sobie z Tobą na wesoło.

Lubię Cię bardzo za humor i pogodę — pisz zawsze w ten deseń, a podbijesz sobie wszystkie serca „Krainy“. Ja naturalnie będę musiała zostać przy.... zazdrości!

Lecz nim to nastąpi (podbój „Krainy“) niech spokojnie zamieszczę urywek z Twego listu:

„Gdy piszę te słowa, zgłodniałe wróbelki natarczywie atakują moje okna. Z miłości daję im, co mam, lecz nie za darmo. Poleciłem im rozlecieć się po całej naszej „Kraince“ i każdemu z osobna zanieść braterski uścisk dłoni. Do Pani wysłałem tego najgrubszego, mego ulubieńca. Niesie on moc ukłonów dla Pani. Niechże więc będzie Pani łaskawa obarczyć go pocztą, jaką Mili „Krainiacy“ z wszech stron do mnie nadsyłają. Sama niech jednak Pani nie zapomni dołączyć swego „kilometrowego“ listu.

„Kalina“ — baw się! Pisz dużo! Rewanż pewny. Pa!!!

„Leśna Dziewczyna“ — Jestem rozczarowany. Dziękuję, pozdrawiam!

„Zbijobruk Poznański“ — Ile razy widzieliśmy się — nie wiem. Daj jakiś znak godny „Zbijobruka Poznańskiego“. Wiesz, jak jest, jak dwóch, to śmielej. Może wymienimy parę słów? — droga wolna! — Serwus!

„Róża Leśna“ — trzymaj się mocno, byś wśród mrozów nie zginęła! Przyjmij pozdrowienia.

„Jutrzenka“ — Czuwaj na rubieżach Polski, aż się zjawię. Przedtem może napiszesz trochę? Bądź zdrowa!

„Słoneczna Jasieńko“ — przyślij mi promyczek Twego światła! Tak mi go w obecnej porze brak!

„Szukający Podchorąży“ — składam gratulacje! — Cześć!

„Janek ze Śląska“ — Kim jesteś? — może się znamy? — napisz!

Zarazem wszystkim „Krainiakom“ miłe pozdrowienia!“

SŁÓW TYLKO KILKA

„Zuch dziewczyna“. Piszę i do Ciebie słów tylko kilka, aby jak najwięcej „Krainiaków“ otrzymało odpowiedź. Tak chciałabym w ostat-

nich dwóch tegorocznych numerach odpowiedzieć na wszystkie zalegające listy i dlatego jestem w odpowiedziach tak bardzo lakoniczna. A mimo to, zdaje się, nie dam rady! W każdym razie staram się, jak mogę!

Całuję Cię Najdroższa i zamieszczam Twoje komunikaty:

„Zaza". Dziewczynko Kochana — napiszę wkrótce długi list. Bądź cierpliwą, tymczasem przyjmij serdeczny uścisk dłoni.

„Wierzba na pustkowiu". Wiersz Pani „Matuś moja" wywarł na mnie głębokie wrażenie i choć nie był dla mnie, pięknie zań dziękuję. Boję się, że i Pani straciła już tę jedyną najlepszą Przyjaciółkę. Jeśli tak, to głęboko współczuję i proszę przyjąć najmilszy uśmiech. Jeśli nie, to tylko proszę przeczytać wiersz niemiecki: „Wen du noch eine Mutter hast".

„Nell z Bydgoszczy". Dziewczynko nieznana! Nie wolno zrażać sobie osób swoim pesymizmem i roztkliwianiem się nad złą dolą. Trzeba te wszystkie przeszkody zwalczać z uśmiechem i nie dać się. I nie wolno wymagać od drugich, aby razem ze mną biadolili, bo to nie pomoże, a raczej tę drugą osobę oddali. A przyjaźni nie można wykładać na dłoń. Jest ona silniejszą, im głębiej w sercu i nie trzeba dawać jej na afisz!

Przyjmij te rady od oddanej Ci, choć nieznanej.

„Maruta", „Przedwiośnie", „Biała Uajali", „Bajko", „Złoteńko", „Carmen", „Miła Zapałeczko" — pozdrowienia i... myślę o Was często!

„Elżunia z Torunia". Śliczne są te dwa zdjęcia, widziałam je u Irki O.

„Szukający Podchorąży". A kiedyż to przyjedzie Pan do naszej Łodzi? I czy odpowiadają Panu warunki „pojedynku"?

„Wołyniak". Pozdrowienia od Trzpiota.

UŚMIECH

Nigdy mego czoła nie zasnuł lichy smutek —
Tkacz czarnych myśli i bezsennych nocy.
I zawszem wesoły, bo jak dziecięcy ludek —
Kaskadą śmiechu strzelam, jak z procy.

O! chciałbym nieraz cały świat ogarnąć
I wszystko, co nęci pięknością, opiewać...
Śmiać się złudnym majakom, biednych przygarnąć
I wiecznie młodocianej wiośnie śpiewać!...

Kryształne śpiewałbym poezji hymny całe —
I kiedy pogodne czoło omroczy smutek,
W piersi bije serce stęsknione, zbolałe —
Ale jestem wesoły, jak dziecięcy ludek...

A gdy do mej duszy gorycz się zakradnie,
Nie targam łańcucha, by nie drażnić rany...
Na ustach uśmiech króluje mi wszechwładnie
I prawie nigdy nie czuję się stroskany!...

Zbigniew Wicherek.

KILKA SŁÓW DO „KRAINY"

Halo! „Krainiacy!"

Czy nie zechcielibyście mnie przyjąć do „Krainy" jako swoją siostrzyczkę?

Jestem szatynką, średniego wzrostu, o dużych, ciemnych, fiołkowych oczach.

Jestem usposobienia wesołego, ale nie jestem płytką. Chciałabym nawiązać z inteligentnymi członkami „Krainy" ciekawą i wartościową korespondencję. Mieszkam w małym miasteczku i tęsknię tak bardzo za wspólną wymianą myśli.

„Zbijobruczku poznański"! Zdaje mi się, że jesteś bardzo inteligentnym człowiekiem, czy nie zechciałabyś napisać do mnie kilku słów?

„Erosowi" zasyłam miłe pozdrowienia.

Panu J. Baranowskiemu za wspaniałe wiersze ślę uznanie. Czy nie zechciałby Pan kilka słów napisać do mnie, odpowiem z pewnością i bardzo się ucieszę!

„Wirrytowi" serdeczny uścisk dłoni! Czy nie zechciałby Pan ze mną troszeczkę pokorespondować?

Dla „Przedwiośnia" zasyłam całusy.

A teraz całej „Kraince" moc pozdrowień i proszę listy kierować na ręce pani Zofii, dla „Charkowianki".

Przyjmujemy Panią do swego grona i prosimy czuć się z nami dobrze! Adresu tej osoby, o którą pytasz, nie znam.. Pisz!



„Burza" zapewne nadciągnęła z daleka bardzo, wskazuje na to choćby jej egzotyczna uroda

PRZYJMUJĘ!

„Marysieńka ze Starego Sącza". Przyjmuję Panią w szeregi „Krainiaków" i oznajmiam im, że przeyłassz im moc pozdrowień i ucałowania.

NIE MA JUŻ „ALE"

„Księżniczka Henrietta". To „ale", o którym mi pisałaś, Droga Dziewczynko, jest już usunięte — prawda? To dobrze!

Słusznie zauważyłaś, że kto kocha milion, milion pierwszy obiekt nie rozstrzeli jego uczuć i dlatego też ze spokojnym sumieniem mogę Cię zapewnić o swej żywej sympatii.

Pisz często i tak szczerze, jak dotąd a będziemy dobrymi przyjaciółkami.

Twoje zdjęcie piękne — wiesz już, co z nim uczyniłam.

Pozdrawiam Cię i życzę dobrych Świąt!

BĄDŹCIE DLA NIEJ MILI!

„Śniadula". Przyjmuję Panią do „Krainki" i przedstawiam naszym sympatykom:

Nowa nasza siostrzyczka ma lat 17, ciemnoblond włosy i bardzo śniadą cerę, a oczy zielone. Wzrost średni. Mieszka na prowincji.

„Krainę" poznała przed kilkoma miesiącami i od razu poczuła do niej ogromną sympatię, która stopniowo przerodziła się w gorącą chęć czynnego przynależenia do niej.

Bądźcie dla niej tak mili, jak to umiecie!

ŚWIAT SIĘ ODMIENIŁ...

„Maleńka Reri". Cieszy mnie, że... „ od dnia przyjęcia Cię do „Krainy" świat Ci się odmienił", jak mi to napisałaś. Oby tak zawsze było!

Sprawę administracyjną już załatwiono.

Pozdrawiam Cię i czekam na dalsze promienne wynurzenia!

NIE JESTEM PEWNA

„Rozdrzepana Aulunia". Ależ bardzo chętnie przyjmuję Cię do naszej „Rodzinki", proszę tylko o zaznaczenie, czy dobrze odczytałam Twój pseudonim, bo nie jestem tego pewna.

Napisz mi szybko długi, długi list, a na razie przyjm miłe pozdrowienia!

ZGADZAM SIĘ Z PANEM

„Ilar IV". Zgadzam się z Panem, że ludzie, którzy nie czytają wcale, żyją jakoby w ciemnościach, ale wiem, że sporo takich mamy jeszcze w Polsce. Z biegiem lat zniknie (mam nadzieję) ten lekturowstręt, a zatriumfuje prawdziwy głód czytania i wiedzy.

Że Pan lubi dużo czytać, przekonałam się już dostatecznie i cieszy mnie to niewymownie.

Wiersze Pana częściowo uległy już ocenie, reszta czeka na swoją kolejkę.

Życzę Wesołych i Szczęśliwych Świąt!

PRZYJEDZIESZ?

„Rowerzystka z Pomorza". O, to doprawdy żałuję, że nie było mnie wówczas w redakcji — byłybyśmy pogawędziły sobie serdecznie. Nie tracę jednak nadziei, że jeszcze kiedyś przyjedziesz i że wówczas się zobaczymy.

Życzę Ci dobrych, wesołych Świąt!

„Halinko J." — Całuję mocno, mocno buzię za ten śliczny prezent. Pozdrowienia dla całego domu. Pa!

„Żymełka" — Znamy się, pomyśl dobrze. Jak długo będziesz bawić w Toruniu?

„Banialuko". Znam Cię z „fotki" od H. J. Pozdrowienia — Pa!...

Wszystkim rowerzystkom i rowerzystom moc pozdrowień, a całej „Rodzince" śliczne pa!"

NIE WOLNO NAM!

„Chinchilla". Proszę przyjąć i mnie do „Krainy", niechże i ja mam swoje chwile szczerości, bom sama, samiuteńka!"

Tak pisze do nas ta miła panienka — nie pozostawimy jej wołania bez echa. Nie wolno nam!

Życzę Pani dużo radości w kontakcie z nami i oczekuję nowej rozmowy!

CZYŻBY?...

„Szyderco"! Czyżby Cię przeraziła perspektywa „ogniowej próby" przyjaźni, że milczysz? Domyślasz się zapewne, że to pisze „ktoś z kieleckiego". Sprawa „tamta" straciła już na aktualności — znalazł się bowiem opatrznościowy „naiwniaczek" i wybawił z „zakłopotania". Wobec tego czekam i nie mam żalu, bo rozumiem.

INFORMUJĘ

„Kalina". Załatwiłam Twoją prośbę, ponadto informuję Cię, że Jerzy Żuławski należy do poetów o ustalonej sławie i już nie żyje.

Prace Twoje ma Wujek Janusz w swej teczce.

Pozdrawiam Cię i życzę Wesołych i Szczęśliwych Świąt!

APEL

„Halo! „Królewiczu z bajki"! — Ktoś daleki, nieznany i bardzo samotny prosi Cię o list na ręce Pani Zosi.

Proszę przyjąć wyrazy szczerej sympatii!"

NIESTETY!

M. Kr. — Bagrowo. Dziękuję Pani za słowa uznania, wyrażone pod adresem naszych pism i donoszę, że apelu Jej, niestety, nie mogę zamieścić! Mogę jedynie poradzić Pani, abyś zdecydowała się dać ogłoszenie tej treści.

Pozdrawiam Panią bardzo serdecznie.

PISZ!

„Dziewczę znad Warty". Przyjmuję Cię, Miła Moja, do naszego grona z serdecznym życzeniem, abyś czuła się w nim, jak w najprzychylniejszej rodzinie!

Fotografię Twoją dałam do albumu „Krainy".

Bądź mi zdrowa i pisz!

„Młody Rolnik"! Ślę Ci pozdrowienia. — A może napiszesz do mnie? Jestem właśnie z okolic Konina.

„Naturalna" — przyjm od nieznanej Ci na razie dużo, dużo, szczerych życzeń i uścisków. Może nawiążemy ze sobą bliższą znajomość?

Dla całej „Krainy" załączam miłe pozdrowienia"!

NIE PODPISAŁAŚ PSEUDONIMEM

M. Stadn. — W. St. Monitujesz mnie, Dziecino, pocztówką o odpowiedź, a nie podpisałaś się pseudonimem tylko nazwiskiem, ja zaś nazwisk przeważnie nie pamiętam i stąd nie wiem, komu mam odpowiedzieć.

Napisz mi szybko, kim jesteś w „Krainie", a nie omieszkam odpowiedzieć Ci możliwie najszybciej.

Pozdrawiam Cię mile i czekam!

POZDRAWIAJĄ

„Lolek 3 i Bolek 4" pozdrawiają wszystkich członków „Krainy".

Dziękuję Wam za pozdrowienie i wzajemnie przesyłam życzenie Wesołych Świąt!

ODPOWIEM NA KAŻDY LIST

„Diana“. Przyjmuję Cię do „Krainy“ i zamieszczam wyjątek z Twego listu:

„Jestem brunetką, o niebieskich, marzących oczach, wzrostu średniego, trochę marzycielką, lubię uprawiać sport w różnych jego odmianach. Skończyłam w tym roku W. S. H. w Gdańsku, a obecnie pracuję w jednej z poważnych firm handlowych w Gdyni.

Chciałabym bardzo nawiązać szczerą korespondencję z „Krainiakami“, przy czym zaznaczam, że na każdy list bezwzględnie odpowiem.

Listy proszę kierować pod adresem: Poste restante, Gdynia „Diana“.

JESTEŚ KOCHANA!

„Córka Wichru“. Nie szkodzi, Droga Moja Dziecino, że nie wpadłaś już więcej wówczas do nas — przecież byłaś zajęta, a to tłumaczy Cię dostatecznie.

Przy okazji napiszę Ci dużo, a na razie przyjm moje serdeczne ucałowania. Jesteś bardzo, bardzo kochana!

TECZKA wuja Janusza

WIERSZYKI SŁABE

„Ogłuszony Kulasek“. Wierszyki Pana b. b. słabe. Kiepsko w nich z rytmem, rymem, a na dobitkę i treść jest nieskładnie i nielogicznie powiązana. Do druku nie wybrałem żadnego. Może inne będą szczęśliwsze, choć słabą mam nadzieję.

Pozdrawiam Pana naprawdę serdecznie i proszę nie przejmować się moją ostrą oceną Pana prac!

OBA WIERSZYKI PRZEZNACZAM DO DRUKU

P. Tadeusz Rawicki. Mam przed sobą dwa Pana wierszyki: „Śnieg“ i „Całą noc“. Oba przeznaczam do druku.

Co się z Panem dzieje, dlaczego nie mam od Ciebie dłuższego czasu żadnej wiadomości? Nie uchodzi pozostawiać starych przyjaciół (p. Zofia i ja) tak długo w niepewności — przecież możesz chorować, a my o tym nic nie wiemy. Bardzo Cię proszę — odezwij się!

Życzę Ci szczęśliwych, jasnych Świąt, Drogi Chłopcze!

ŚNIEG

Co za rozkosz
wzrok z siłą zatopić
w puszysty śnieg!
Przyleciał nocą
i lotem strudzony
na ziemi legł.

Konary z dumą
znoszą słodki ciężar —
jedwabny puch.
Nie poznasz nocą
i spytasz zdziwiony:
śnieg, czy duch?

Niekiedy oczy
i twarz ci zasypie
ziębiący pył.
O takiej barwie,
co bielsza nad śnieg,
próżnoś śnił.

. . . .

Co za rozkosz
wzrok z siłą zatopić
w puszysty śnieg.
Przyleciał nocą
i lotem strudzony
na ziemi legł.

Tadeusz Rawicki.

ZBIOROWĄ OCENĘ WIERSZY DAM PÓŹNIEJ

„Zaira“. Sporo nadesłała mi Pani wierszyków, lecz nie miałem jeszcze czasu przejrzeć ich wszystkich i wydać zbiorowej oceny.

Do druku przeznaczam na razie ten poniższy.

Posyłam Pani przyjazny uśmiech i mocny uścisk dłoni!

MÓJ PRZYJACIEL

Przyjaciel mój — świerk stary,
Drzewina poczciwa.
Wiatr w jego konarach
Smutne piosnki grywa.

Burze go targają,
Deszcze polewają,
A silne wietrzyska
gałązki zrywają.

Tak stoi samotny,
Na los swój się żali
I tęskni za lasem,
Co stoi w oddali!

Jak ten świerk samotna,
Losem pokrzywdzona,
W bólu swym do niego
Wyciągam ramiona.

Poczciwa drzewina
Słucha mego zwierzenia
I z cichym szelestem
Zsyła ukojenie.

„Zaira“.

WIERSZYK MIŁY

„Maleńka Halszka“. Z wierzyków Twych do druku wybrałem i poprawiłem na razie ten miły wierszyk pt. „Wieczorne dzwony“. Resztę ocenię później.

Życzę Ci natchnienia w dalszym komponowaniu i pozdrawiam serdecznie!

WIECZORNE DZWONY

Słońce zapada nad światem
za ciemne sosen korony,
na niebo bucha szkarłatem,
I dźwięczą w siwych mgłach dzwony.

Z pola, drogami białymi,
wracają pługi i brony,
już mrok się ściele po ziemi
I dźwięczą w swych mgłach dzwony.

„Maleńka Halszka“.

TRZY WRÓŻKI

Nad mą kolebką wróżki trzy
W poranku życia stały.
I wówczas pierwsza dała mi
Promyczek jasny, mały.

I rzekła: promień daję ci,
Ty w życia pójdziesz fale.
I będziesz kochać smutki... łzy...
Lśnić będziesz w mroków zwale.

A druga dała dziwną moc,
Płyń — rzekła — w życia morze...
Choć cię ogarnie ciemna noc,
Ty w świtów patrzaj zorze!

Trzecia, urocza jako sen,
Złożyła na mym czole,
pocałunek ust cichy
Na złą... i dobrą dolę!

Dziwne to były wróżki te...
Dziwną ich słów zawiłość...
Tylko ktoś cicho szepnął mi;
Nadzieja... Wiara... Miłość!

St. Roslewska.

PRZYJMUJĘ PANIĄ DO CZŁONKÓW TECZKI

„Twoja Szarotka“. Przyjmuję Panią w szeregi członków, którzy dbają, aby moja „Teczka“ przypominała zawsze dobrze wypchany, olbrzymi portfel z przeznaczeniem — rzecz naturalna — na stosy zapisanych wierszami kart, a nie na banknoty. Zresztą zdarzają się czasem w tych stosach pojedyńcze wierszyki, cenne, jak same dolary, ale... zdarzają się rzadko!

Z Twoich pierwszych wierszyków: „Czy Ty pamiętasz“, „W dal zapomnienia“, i „Drodzy „Krainiacy“ do druku nie wybrałem żadnego — może inne będą szczęśliwsze. Życzę Pani tego!

Proszę przyjąć moje pozdrowienia.

CZYTAJ DUŻO!...

„Taddy“. Wierszyk Twój pt. „Piosenka Białej Uajali“ słaby — do druku zakwalifikować go nie mogłem.

Czytaj dużo zdecydowanie dobrych poezyj i wyrabiaj smak artystyczny, tudzież umiejętność dobrego rymowania.

Posyłam Ci ciepły uśmiech!

TWOJE OCZY...

W kręgu odległych dziś wspomnień —
Zabłysły mi twoje oczy,
Te oczy jasne, ogromne,
Jak dwa błękitne przeźrocza.

W słońcu dalekich mych wspomnień —
Migocą i wciąż się śmieją
I zdają się zbliżać do mnie
I płonąć nową nadzieją.

Na fali przeżytych wrażeń
Oczu twych cud się kołysze,
Na kanwie najcichszych marzeń —
Szczęście wydaje się bliższe.

I tylko los nasz okrutny,
Wciąż burzy nam szczęście jasne
I wiem, że oczy twe smutne —
Nie będą nigdy me własne.

Helena Thielówna.

DLA CELINKI S.

Może Ci smutno?...
Ech, rozpogódź swe czoło!
Patrz, jaką nutą —
świat rozbrzmiał wokoło!...

Może Ci smutno?...
Chcesz, a rozweselę
(Chociaż na krótko!)
Cię, przyjacielu?...

Smutno Ci może?...
Ech, bądź znów wesołą!
Patrz, jaką nutą
świat rozbrzmiał wokoło!...

„Te — Em“.

GRAJCIE ME SKRZYPKI...

Grajcie me skrzypki melodie wyśnione,
Grajcie-że pieśni me ukochane,
Dopóki życie wre we mnie młode,
Grajcie-że skrzypki me malowane.

Gamą przecudnych tonów rozbrzmijcie,
Gdy w naszą duszę tchnę pieśń świetlistą,
Od tych strumieni znad łąk szerokich,
Od gwiazd niebieskich bardziej złocistszą.

A gdy nie stanie dla was rąk moich,
Co by leciutko struny muskały,
To proszę was, o skrzypki lipowe,
Byście mi echem chociaż zagrały...

„Irek“.

MIEJ CISZĘ W SERCU...

Pani Kizi Skąpskiej — dedykuję.

Pod krzyża się gnieść brzemieniem i skrzysz cicho,
Że gniecie twe barki ciężar nad siły
I tylko zwątpienie twą smutną toczy duszę
I choć-żeś młoda — widzisz przed sobą mogiłę.
Pamiętasz? Ktoś również niósł ciężkie krzyża brzemię,
Lecz się nie skarżył, idąc w ciszy i w swej rozterce,
Ktoś boski, co na niewdzięczną tę zstąpił ziemię,
By wlać promienie wiary w zwątpiałe już serca.
Więc choć twa szara droga wciąż wiedzie w Nieznane —
Wytrwale idź i nie narzekaj na krwawy trud!
To nic, że twoje marzenia wichury zsmagały —
Miej ciszę w sercu, bo cierpień symbolem, to Bóg!...

„Biała Uajali“.

wią „moim dzieciom“ — uroczyście, wszystko, co wtedy powiedziałam, odwołuję!...

— — — — — — —

Nastał październik.

Jesień za chłód, który z sobą przyniosła, za mniejgodzinne dni — odpłacała się całym bogactwem kolorów, które hojną dłonią rozrzucała po lasach, parowach i zagajnikach...

A musiała najbardziej miłować kolor złoty, bo tym najbardziej szafowała...

Więc w jednostajnym przez lato granacie lasów, pozapalała tu i ówdzie w złote pochodnie liściaste drzewa. Pomalowała złotem zagajniki z zamiłowaniem tonując odmiany... A tylko na dalekich wzgórzach ujawniła niespodziewającym się oczom całe połacie nie złotem, ale śliczną purpurą spłonionych dębów...

Na polach maleńkie oziminy uczyły się jak mają falować za podmuchem wiatru, aby przydać piękna jesieni, która je zrodziła i nie zrobić po tym wstydu wiośnie tak czułej na to, żeby jej pora budziła zachwyt w ludzkich oczach...

Po paru szarużnych, brzydkich dniach w środku miesiąca, objęła ziemię niezamącaną ani jedną chmurką pogoda; bowiem śliczne, białe smugi rozciągające się po błękicie, jakby umyślnie układały się tak, aby nawet lekkim zamgleniem nie szkodzić słonecznej kuli...

Przecudna polska jesień — płaciła ziemi i ludziom za mokre, szkaradne dni lata...

Było tak pięknie i ciepło, że dziwiłeś się patrząc, jak znaczyły niebo „jedynki“ dzikich kaczek, czy stada śmigłych jaskółek lecących już od nas na południe...

I nie mogłeś sobie wyobrazić, że przyjdzie niedługo najbrzydszy ze wszystkich miesięcy miesiąc i zedrze cudną, kolorową szatę z drzew tak pracowicie przez jesień postrojonych po lasach, parowach i zagajnikach...



W szkole tresury psów.

Że zapłacze drobnym, przejmującym do szpiku kości deszczykiem... Że zawyje wichurą w kominie i będzie targał nagimi drzewami, pomiatał zeschłym liściem...

Ale to miało dopiero przyjść, a teraz tonęło Podhale w złocie jesieni, srebrzyło się nitkami babiego lata, pachniało dymami pastuszych ognisk rozciągającymi się leniwie, sennie po zielonych zagonach...

ROZDZIAŁ XXXIX

Robił się brzask.

Mrok wielkimi krokami schodził z wyniosłych wzgórz w doliny... krył się — uciekał przed różowiejącym coraz bardziej skrawkiem nieba na wschodzie.

Kamienistą, nierówną drogą nad brzegiem Dunajca — idzie Luta.

Idzie wolno z głową nisko opuszczoną na piersi; w półprzymknięte oczy, zda się, nie widzą nic; patrzą w głąb duszy własnej, bo tam tak, jak i na świecie teraz robi się brzask...

Przyczajony w dolinach mrok, rozpłynął się — znikł...

Nikły też — rozpływały się białe mgły rozciągnięte nad Dunajcem. Nad lesistą górą rosły, powiększały się z każdą chwilą różowo-złote blaski...

O, już dobiegły stadka różnokształtnych obłoczków zaglądających ciekawie za górę, gdzie kryło się słońce, płoniąc je prześlicznie... Po tym znalazłszy na środku nieba długą, białą smugę — zarumieniły ją cudnie...

Nawet hen, na zachodzie szarym chmurkom przydały koloru. Teraz pali się prawie pół nieba...

Ziemia nie mogąc już o tej porze powitać wschodu chórem śpiewającego ptactwa, ni wonią przeróżnych kwiatów, stoi cicha... I tylko pełnymi zachwytu oczyma dziękuje i przeprasza, że za to niebo malowane w przecudne kolory i za ten snop przejasnych promieni, które za moment rozrzuci po niej słońce — nic już niestety dać nie może...

Luta staje. Podnosi ręce i składa je modlitewnie przy ustach. W oczach patrzących teraz prosto w cud wschodu pali się wyraz niewypowiedzianej radości.

— I dzięki Ci Boże — kończą głośno usta zaczętą bezgłośnie modlitwę — żeś krwawy żar w moim sercu, przemienił na czysty „Biały Płomień“, który mi duszę oderwie od ziemi... dziwnie wzwyż!

KONIEC.

MUNIA TOLINA 3)

Dusze na manowcach

POWIEŚĆ

Traktował ją tylko jako tę, którą Karol kochał i miał poślubić i zupełnie nie odczuwał na razie na sobie siły jej uroku, chociaż zachwycał się jak i inni jej młodzieńczym względem, cudowną cerą i tak przedziwnie jasnymi włosami.

Andrzej nie przeżył jeszcze prawdziwej, wszechogarniającej miłości, choć nie brakło w jego życiu przygód i podkładzie erotycznym, niestety, były to przeżycia dorywcze, zrealizowane może gwoli zaspokojenia zmysłów i dlatego pozostawiające po sobie niesmak; a pierwsza młodzieńcza miłość, którą się przechorowało, jak zwykle, w zaraniu męskiego wieku, wywołała tylko uśmiech rozczulenia nad dawną, beztroską naiwnością.

Zresztą Andrzej starał się tłumić w sobie porywy zmysłów, nakazywał sobie wstrzemięźliwość, sądził bowiem, może i słusznie, że miłostki albo i miłość mogą mu przeszkadzać w pracy, która była celem jego życia, co wpoił mu niezmordowany, niecofający się przed niczym Karol.

I Andrzej przekonał się, że potrafi prawie z zupełnym powodzeniem hamować w sobie instynkty natury, jednak czasami nie mógł zagłuszyć jej głosów i wtedy z podświadomą celowością poszukiwał owych lekkich, przelotnych przygód, pozostawiających po sobie co prawda, nieco niemiłe wrażenia, ale przechodzących bez głębszych śladów i niezbyt przeszkadzających w pracy; właściwie żadna celowość tu nie miała znaczenia, a po prostu nie spotkał jeszcze takiej kobiety, która by zajęła niepodzielnie jego uczucia i zmysły.

Przeczuwał i czekał jednakże na tą wielką miłość, a marzył o swojej przyszłej żonie, jako o kobiecie łagodnej, tkliwej i mądrej, która by była nie tylko kochanką, ale towarzyszką i wspólniczką pracy i celów. Po stracie Karola tym częściej myślał o takiej oddanej i bliskiej sobie istocie, mogącej wysłuchać wszystkich jego zamierzeń, projektów, zdolnej rozumieć jego plany.

Helenę obserwował z ciekawością, nie mógł jakoś pojąć tego, że właśnie ją Karol wybrał za żonę, że była jego kochanką, nie wydawała mu się kobietą, godną takiego człowieka, jakim jest zmarły.

Prawda, była tak piękna, tak wykwintna, urocza w obejściu, lecz jednocześnie taka daleka, obca, nie interesowała się ani jego szpitalami, ani pracą, troszczyła się tylko czule o dziecko, nic poza tym; często w jej przenikliwych, ostrych oczach Andrzej czytał jakby potępienie, jakby pogardliwą ironię nad tym, że tak stara się ulżyć cierpieniom ludzkim, że tak zajęty jest swoją misją uzdrawiania. — „Nic nie poradzisz na wszystko, mały człowieku“ — zdawały się mówić te piękne oczy.

Czasami w chwilach odpoczynku Andrzej z prawdziwą rozkoszą słuchał gry lub śpiewu Heleny. Ale jej głęboki, aksamitny głos nie wywoływał w nim z początku, żadnego zmysłowego wrażenia, a tylko sprawiał przyjemność, jedynie estetyczną; i nie miał Andrzej na razie pragnienia, aby twardo zarysowane usta Heleny wypowiadały doń pieszczotliwe słowa, aby jej zimne oczy spoglądały nań czule, patrzył na nią tylko jako na cud piękności kobiecej i nigdy z początku, nawet w myśli, nie łą-



Ludność góralska Jaworzyny witała serdecznie wkraczające na odzyskane tereny wojska polskie.

czył jej czarującej osobistości ze swoim „ja".

Helenę dziwiła nieco ta bezwrażliwość zmysłowa urodziwego, zdrowego mężczyzny, jakim był Andrzej. Była tak uwodzicielska, tak przyciągająca w stosunku do niego, a on jakby nie zauważał tego, był tylko grzeczny, uprzejmy i mówił jej po imieniu, ale traktował ją, jak bardzo kochaną, szanowaną, nawet uwielbianą — siostrę!

Helena jednakże była wytrwała, nie rezygnująca łatwo ze swych dążeń, nie zrażało jej to, że dni, miesiące przechodzą, a stosunek jej do Andrzeja pozostaje bez zmiany, wierzyła niezłomnie w swoją siłę uroku, wierzyła, że zwycięży i teraz — jeżeli nie jest łatwo opanować Andrzeja, to później za to pokocha ją z tym większą namiętnością, może jak nikt dotąd.

Dzień upłynął tak prędko wśród nawału pracy — cztery operacje, w tym dwie bardzo ciężkie, obchód trzech pawilonów, potem przyjazd delegacyj robotniczych z Niemiec, rozmowy z nim; zabrakło nawet czasu na codzienne doświadczenia laboratoryjne, pod koniec Andrzej już czuł się tak znużony, że nie pozostawało nic innego, jak pójść do domu wypocząć.

Dobrze, że jeszcze na to znalazł czas, a przecież zdarzały się takie dni, iż wcale nie przychodził do siebie, nawet obiady jadał w gmachu szpitalnym, a nieraz i nocował tam.

Lecz dziś wracał do domu, z prawdziwą rozkoszą myśląc o wypoczynku.

— Cóż, nie śpisz jeszcze, Heleno? Już jest tak późno.

— Czekałam na ciebie, ułożyłam dziecko i czekałam na ciebie, przecież sam mówiłeś, jak przykro ci było dawniej powracać do pustego domu.

Czekała na niego, swoją drogą, trzeba przyznać, że Helena jest bardzo uważająca i dba o niego, może na próżno powziął tak niekorzystne mniemanie o jej wewnętrznej istocie, mniemanie oparte na wrażeniu jaki wywierał na nim wyraz jej oczu i brak zainteresowania szpitalami, a może to niczego jeszcze nie dowodzi?

A zresztą, nie raziło go już tak przenikliwe spojrzenie pięknych oczu, przyzwyczaił się już nieco do tego wyrazu ostrości.

— Wiesz co, Helenko, odechciało mi się już spać, chętnie bym posiedział jeszcze z tobą i porozmawiał, jeżeli cię to nie znudzi, a moje gadanie zainteresuje.

— O, dlaczego tak sądzisz, z niemniejszą przyjemnością pogawędzę z tobą.

Tak, Helena jest jednostką nieprzeciętną pod każdym względem, ma umysł trzeźwy, jasny, jest tak oczytana, wykształcona; może sądzić o wszystkim i przy tym poglądy swe wypowiada z taką prawdziwie męską logicznością — i właśnie ta ostrość rozumowania, rzeczowość i mądra konsekwencja zdań i wypowiedzeń w połączeniu z jej niewypowiedzianą pięknością, potęguje jej czar i zniewala jeszcze bardziej, każdego, kto tylko ma możność jej bliższego poznania.

Może jednak Karol tak bardzo nie omylił się w wyborze, może właśnie lodowaty wyraz jej oczu podobał się mu, może sądził, z tą rozumną, chociaż niemiękką po niewieściemu kobietą, łatwiej będzie mógł współżyć?

Helena ubierała się przeważnie w suknie czarne lub ciemne, nie nosiła prawie nigdy żadnych ozdób ani klejnotów, jej olśniewająca uroda nie potrzebowała upiększeń: przepyszne oczy nie byłyż, jak drogocenne kamienie, gorejące zimnym ogniem, a włosy tak świetliste, połyskujące!

Nie jest-że to cudowne, kiedy kobieta tak niedostępna, wyniosła, przemówi nagle głosem łagodnym, cichym; cóż za przeciwieństwo niezwykłe: wyraz oczu nasuwa myśl o głosie ostrym, rozkazującym, usta piękne, ale twardo wykrojone, zdają się być stworzone tylko do wypowiadania słów pogardliwych, tymczasem, głos koi i pieści, a słowa są pełne słodyczy i czaru.

Andrzej coraz częściej zaczął przesiadywać w domu, wolał wstać wcześniej lub odrobić w nocy jakąś zaległą pracę, ażeby co dzień przebywać chociaż po parę godzin w towarzystwie Heleny.

Oto i dziś porozmawiał z nią dłużej nawet, niż zwykle, a teraz w nocy, musi zakończyć rozpoczętą pracę, przecież pomimo wszystko nie może zaniedbać swych doświadczeń, które rozpoczął jeszcze, będąc we Francji.

Stał pochylony nad narzędziami, kiedy nagle weszła Helena.

— Słyszałam krzyk, wydało mi się, że z twego laboratorium, zlękłam się, myślałam, może coś się stało.

Przyszła tu w białym, lekkim szlafroczku, włosy miała rozpuszczone, długie jasne loki spadały na ramiona i okalały delikatną twarz, pięknie jej było z tym; niepokojący urok wionął na Andrzeja od jej postaci, przyszła, bo bała się o niego, jakże cudna jest, jak cudna!

— Więc, nic nie zaszło, Andrzeju?

— Nie, Heleno, nic nie zaszło, chyba wydało ci się coś, ale dziękuję, że tak niepokoisz się o mnie,

— W takim razie pójdę, dobranoc; podała mu rękę.

Andrzej ucałował tę wysmukłą, białą dłoń i kiedy dotknął ustami ciepłej, miękkiej skóry, przeniknął go dziwny, zmysłowy dreszcz i zrodziło się w nim pożądanie, a pożądanie zrodziło miłość, pożądanie może być bez miłości, ale miłość nie może istnieć bez pożądania, a przecież takiej kobiety, jak Helena nie można tylko pożądać, skoro się ją pragnie, mieć, musi się ją kochać do szaleństwa!

Już teraz Andrzej nie będzie tak spokojnie zasypiać z tą myślą, że pod jednym z nim dachem śpi ta piękna, ta niezwykła!

Tak, niezwykła, bo jest niby tak nieczuła na wszystko, tak spokojna, a czasami przejawia się w niej jakiś inny, odmienny rys charakteru i wtedy nie jest się pewnym tej obojętności.

Więc, cóż za nieobjęte, nieznane możliwości drzemią ukryte w tej kobiecej duszy? Miłość jej, tej kobiety zapewne nie jest tkliwa i sentymentalna, jest spokojna, a jednak pełna żaru, jest zimna i niedostępna, a jednocześnie namiętność jej nie zna granic.

Taka kobieta nigdy nie uprzykrzy się pytaniem: „czy mnie kochasz", bo wie, że ją nie można nie kochać, widzieć ciągle, mieszkać z nią w jednym domu, i nie kochać, nie pragnąć jej pieszczot, jej pocałunków, jej oddania!

Taka kobieta nie zdradzi, nie skłamie, bo jest wyższa od tego. Nie jest może dobra i miękka po kobiecemu, jest twarda, niezłomna i dlatego prawdziwa, niewykrętna.

I oczy jej ostre, przenikliwe, są okrutne i piękne, jak sama prawda!

Jak więc to stać się mogło, że od razu nie wywarła takiego wrażenia, że od razu nie zawładnęła zmysłami i sercem, takie jednostki nie spotyka się często, nie, Karol nie omylił się w wyborze.

Helena była radosna i pewna siebie, wiedziała, że zwycięży, że i Andrzej nie oprze się jej, prawda przeszło tyle czasu, od-

kąd stara się go usidlić, nie dał się tak łatwo jak inni, ale zato miłość takiego człowieka będzie najsilniejsza od miłości innych, tak, nie zawiodła się na sobie, zresztą, przecież nic nie straciła ze swego czaru, więc dlaczego miałaby się zawieść?

Wiosenny, słoneczny dzień, rozsiewał blaski i poił błogością.

Andrzej wracał do domu w wyjątkowo dobrym humorze, wszystko układało się tak pomyślnie, w żadnym oddziele, nawet u najcięższej chorych, nie zaszło nic takiego, co by mogło zaćmić jego radość. Otworzył po cichu drzwi do pokoju i stanął na progu. Helena widocznie nie zauważyła jego wejścia. Siedziała przy oknie z małym Jędrkiem na kolanach, jasna jej głowa lśniła w słońcu.

— Maleńki syneczku, pieszczotko moja, promyczku niebieski. Dzieciak wyciągał rączki i śmiał się uszczęśliwiony.

Jakże miękką, subtelną pieszczotą brzmi jej piękny głos, wydaje się chwilami tak nieczuła, a jednak jak przemawia do dziecka, to w słowach jej ujawnia się tyle macierzyńskiej miłości!

— Powiedz Heleno, czy bardzo kochasz swego synka?

— Dziwne pytanie, przecież wiesz jak kochałam Karola, więc jak mogę nie kochać dziecka, jego dziecka, jest przecież wspomnieniem tej pięknej, mojej jedynej miłości.

Jedynej wielkiej miłości, jakże szczęśliwy był Karol, że właśnie jego darzyła tym uczuciem; dziwne tylko, dlaczego nigdy nie zwierzył się Andrzejowi, skoro uzyskał takie szczęście, czy może był zazdrosny o ten skarb serca kobiecego?

I Andrzej teraz kocha Helenę, kocha do szaleństwa, do odurzenia, ale zanadto ją uwielbia, aby ją pragnął mieć za kochankę, może być tylko jego żoną, ale czy zechce, choć zdaje się być tak uważająca dla niego, tak dobra, a może to tylko jej siostrzane względy?

Andrzej zdaje sobie dobrze sprawę z tego, jaką marnością jest wobec pamięci zmarłego, a przecież chwilami wydaje się mu, może tylko wydaje się, że Helena spogląda na niego tak czule.

W rozmyślaniach tych nie zastanowiło jakoś ani razu Andrzeja to, że w poślubieniu wdowy po bracie, jeszcze tym bardziej tak ukochanym bracie, jest posmak czegoś, co sprzeciwia się pojęciom etyki; kochał Helenę, pragnął ją mieć za żonę i ta miłość była przemożna nade wszystko.

Ku zdziwieniu Andrzeja, kiedy spytał Heleny, czy chce być jego żoną odrzekła: „Skoro kochałam Karola, to kocham i ciebie Andrzeju, właśnie dlatego, że jesteś jego bratem, jesteście wszak tak podobni do siebie".

Szczęście jednak nie było tak pełne — Helena pociągała pieszczotą głosu, odpychała spojrzeniem oczu, zawsze zostało w niej coś wrogiego, obcego, pomimo, że była tak uważająca na wszystko, tak tkliwa, dla dziecka była niezmiernie czuła, dbająca, ale Andrzej nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w jego pożyciu z Heleną istnieje próżnia jakichś nieznanych mu uczuć, które on daremnie pragnie odgadnąć i uzupełnić.

Kochał Helenę szczerze, gorąco, to była właśnie ta wielka, upragniona miłość, na którą się czeka latami, gdyby mogła być zawsze tak bez zwątpień!



Na zachodnim krańcu Stanów Zjednoczonych płoną lasy. Ogień zagraża niektórym miastom, położonym na wybrzeżu Oceanu Spokojnego.

Nie mógł zrozumieć całej istoty duchowej żony i to go męczyło, kładło cień na jasność szczęścia.

Pomimo to nie wyrzekłby się za nic tego szczęścia.

Gdyby mógł przeczuć, że ze strony Heleny było wszystko kłamliwe, udane, że żadne cieplejsze tchnienie nie przeniknęło nigdy jej serca; nie była to zresztą jej wina, taką była i nie rozumiała, że może być inną.

Na całym świecie imię Karola Kellera było wielbione, wszędzie podziwiano siłę moralną i wytrwałość tego człowieka, on to podniósł zdrowotność, a tym samym byt całego kraju, od tej chwili, kiedy wziął się do budowy swego dzieła, zrozumiano, że szczęście narodu leży przede wszystkim w tym, aby wszyscy byli zdrowi i syci, to takie proste i takie małe, ale jakże zmniejszyłyby się zbrodnie i występki!

Zachęcone przykładem Polski i inne państwa zaczęły budować podobne lecznice, o równie monumentalnych rozmiarach, jak Ustronie.

Całe swe życie, pracę, majątek oddał Karol Keller na pożytek ludziom; we wzorowych jego szpitalach najbiedniejsi chorzy znajdowali najodpowiedniejsze leczenie i najbardziej czułą opiekę; po jego śmierci dalej to wszystko prowadził Andrzej, jednakowo dobry, cierpliwy, wyrozumiały na niezadowolenie, a czasami i złość ludzką; nieznający zmęczenia, nie żałujący sił, tam gdzie pomóc, podźwignąć, uleczyć trzeba było.

A na Helenie to wszystko nie sprawiało najmniejszego wrażenia.

Nigdy nie zastanawiała się nad tym, że Andrzej jest tak dobry, a ona go tak okłamuje, cieszyła się tylko, że go zdobyła i że może już spokojnie z nim żyć do starości. Bo, dziwna rzecz, odkąd została jego żoną, przestała pragnąć, aby zniszczyć dzieło braci i odejść po nowe zdobycze — i ona widocznie zechciała spokoju. Była pewna, że i teraz żaden mężczyzna nie oparłby się jej, ale nie, nie chciał już triumfów tego rodzaju.

ROZMOWA

Rak jest chorobą straszną i nieuleczalną, bo dotąd nie wynaleziono rzeczywiście skutecznego środka do jej zwalczania — na próżno medycyna wysila się, uczeni całego świata pracują nad tym, a rak nadal unosi coraz to nowe ofiary.

Każdy nowy sposób leczenia jest witany z entuzjazmem przez całą ludzkość, ale entuzjazm ten nie został jeszcze w zupełności usprawiedliwiony.

Leczenie chirurgiczne, leczenie promieniami Roentgena i radem pomimo wszystko nie jest całkowite i dające pewność kompletnego usunięcia zarazków, ponieważ przy każdym leczeniu nawroty choroby są nieuniknione, tylko że przebieg jej trwa dłużej lub krócej, zależnie od stosowanych metod, tj. kilka lat albo mniej; śmierć jest męcząca i przykra i dla osobnika dotkniętego tą straszliwą klęską i dla otoczenia.

Można przypuszczać, że we krwi chorego na raka istnieją jakieś cząsteczki, zwalczające wszelkie medyczne zabiegi i dlatego choroba niezmiennie powraca.

Karol i Andrzej także pracowali nad tym, starając się wynaleźć nowy, niezawodny sposób zwalczania tego utrapienia ludzkości. Karol pracował nad tym w Ustroniu, Andrzej w Paryżu, pod kierunkiem profesora Plenier'a; Andrzej jako chirurg, starał się jednocześnie z tym wynaleźć jakiś nowy środek nasenny, mniej szkodliwy od eteru lub chloroformu, niedziałający na serce ujemnie, a swoją drogą usypiający mocno i na długo. I właśnie, już zdawało się mu, że wynalazł potrzebne formuły, części składowe takiego nieszkodliwego narkotyku, i doświadczenia, które poczynił, zadowalniały go i cieszyły, kiedy otrzymał wiadomość o Karolu i musiał wyjechać, porzucając tak pomyślnie rozpoczętą pracę.

Teraz, kiedy już wszystko ułożyło się, wspomnienie o Karolu nie było tak bolesne i żywe, a miłość Heleny mimo pewnych niedomówień i wątpliwości, była pociechą i bodźcem do tym większej pracy,

wziął się Andrzej znowu do prób i doświadczeń.

W najgłówniejszym gmachu szpitalnym, gdzie mieszkali doktorzy, siostry i pielęgniarki, była olbrzymia sala, podzielona szklanymi, nieprzezroczystymi ścianami, na szereg niedużych pokoi; każdy z doktorów, pracujących w Ustroniu miał tam swoje laboratorium; w szpitalu Karola Kellera pracowali tylko tacy lekarze, którzy poza spełnianiem zwykłych obowiązków zawodowych, pragną stale uzupełniać wiedzę, aby dorzucić i swoją dań do wielkiej i najpotrzebniejszej gałęzi nauki — medycyny.

Andrzej również miał w owej sali swój oddział laboratoryjny, prawda i w domu miał pięknie urządzoną, obszerną pracownię naukową, ale nieraz zdarzało się, że w krótkich, wolnych chwilach, pracował i w tym laboratorium — często trzeba było zapisać lub obliczyć coś ważnego, sprawdzić jakiś dobry, błyskawiczny pomysł, a do domu za długo było by się wybierać.

Pewnego dnia, gdy Andrzej spiesząc, wszedł nie do swego gabinetu, a do zapasowego, który przeważnie pustował, usłyszał, że do sąsiedniego oddziału weszło dwóch lekarzy, rozprawiając o czymś gorąco. Andrzej poznał po głosach, że jeden był to profesor Łanecki, starszy już człowiek, znakomitość w świecie uczonych, drugi jego pomocnik, młody, wstępujący dopiero na drogę uczonego — lekarz.

Mimo woli Andrzej stał się świadkiem ich rozmowy, od razu poznał, że nie rozmawiali o sprawach naukowych i chciał już wyjść, kiedy parokrotnie zaskoczony imieniem: „Helena" został i zaczął przysłuchiwać się temu — o czym rozprawiali z takim ożywieniem.

Nie ulegało wątpliwości, mówili o jego żonie!

— Tak, przyjacielu, znam dobrze Helenę R. — mówił starszy — jest rzeczywiście kobietą niezwykłą, nie można ją nazwać mianem przeciętnej jakiejś awanturnicy, lub kokoty, jest wyższa od tych istot tym, że nie wymaga żadnych zysków materialnych od swoich kochanków, zawsze pragnęła ich zniszczyć tylko moralnie, odciągając od jakiejś pracy, dążeń — to jest uwodzicielka dusz; ale jest jednocześnie niższa od tamtych swych siostrzyc po fachu, bo jej okrucieństwo jest tak przerażające, chłodne i nieludzkie, że zupełnie nie zgadza się z pojęciem zwykłej kobiecości. Dla osiągnięcia swoich osobliwych celów nie zastanawia się przed niczym, żadne wykręty i kłamstwa, nie są wtedy dla niej za nikczemne — na przykład — jakże oszukiwała doktora Karola, a teraz Andrzeja, przecież dziecko, które podaje za syna Karola, wzięła po prostu z przytułku, zresztą dziecko ma już trzy lta; na miesiąc przed śmiercią Karol mi mówił, że jego kochanka jest w początku ciąży, więc mogłoby teraz mieć najwyżej półtora roku, tamtemu mówiła, że jest w początku ciąży, a temu od razu przywiozła rocznego dzieciaka. Sądzę zresztą, że tak „niekobieca kobieta" musi być chyba bezpłodna.

— To jest straszne, że taki człowiek, jak doktór Andrzej został w ten sposób okłamany, odpowiedział młody.

— Ja mogę sądzić dobrze o tej kobiecie, mówił znów tamten — była moją kochanką, kiedy mieszkałem w Danii, przez nią umarła moja żona: Helena potrafiła mnie tak opętać, że podeptałem wszystko.



U progu narciarskiego sezonu.

— Czy nie należało by ostrzec doktora Andrzeja?

— Pomyślę o tym, a teraz weźmiemy się do pracy.

Zaległo chwilowe milczenie.

— Musimy mu powiedzieć wszystko natychmiast, nie wytrzymał znowu młody.

— Nie, lepiej zostawmy to losowi.

— Nie mogę znieść myśli, że tak niepospolity człowiek okłamywany jest przez taką poziomą istotę, gorączkował się młody lekarz.

— Właśnie dlatego, że jest niepospolitym człowiekiem, znajdzie w sobie dość siły, aby oprzeć się złej mocy — powtórzył z uporem profesor Łanecki — zresztą, trzeba było mu to wcześniej powiedzieć; nie łatwo jest rozstać się z taką kobietą, jak Helena R. Pracujmy.

Znowu zapanowało milczenie.

Andrzej był wstrząśnięty do głębi duszy, czuł zamęt myśli i uczuć, chciałby jeszcze raz usłyszeć tę rozmowę, to złudzenie jakieś chyba, jakaś halucynacja słuchowa, chciałby wejść tam i zapytać Łaneckiego jeszcze raz, czy to prawda?

Zawsze przeczuwał w Helenie złą istotę, lecz nigdy nie przypuszczał, że może się tak omylić, myślał, że jest zła, ale czysta, może nieczuła na niedolę ludzką, jednak niezdolna do nikczemnej podłości, do okłamywania, jako kobieta sądził, że jest bez zarzutu; wierzył, iż Karol był jej pierwszą miłością, jak zapewniała.

„O, naiwny głupcze, jakże nie poznałeś, że jest tak przewrotna, — wymawiał teraz sobie" — a może jednak nie wszystko jest prawdą, choć zgadywał, że stary profesor dużo jeszcze nie powiedział.

Teraz prędzej biec do domu, zapytać Heleny, wydrzeć jej z ust to wyznanie, a wtedy, a wtedy, lecz nie, lepiej nie, i Andrzej postanowił nic nie mówić na razie Helenie. „Muszę ją śledzić, aż dostrzegę coś, wtedy ją spytam, wtedy zerwę z nią".

I nagle straszliwa nienawiść objęła go płomieniem — tak go okłamać, tak zadrwić z jego miłości — o przewrotna, o nikczemna!

Teraz rozumiał dlaczego Karol nic nie pisał i nic nie mówił mu o swojej kochance — po prostu nie miał złudzeń, co do jej rzeczywistej natury i nie chciał przyznawać się do tego stosunku, skrywał to przed Andrzejem, że taką kobietę kocha, było widocznie coś poniżającego dla niego w tej miłości: ten hardy, niezłomny, a jednocześnie tak czuły, dobry człowiek nie oparł się Helenie, uległ jej dziwnemu urokowi.

Jaką tajemniczą, niezbadaną rzeczą jest miłość, jak często łączy dusze poziome, płytkie z pięknymi, silnymi, jak to okropnie nieludzko poniżające!

Przy myśli o Karolu, nienawiść Andrzeja do żony wzrosła jeszcze bardziej i przepełniła jego jestestwo ciężarem niezaznanej dotąd goryczy.

A jednak wracał tego dnia do domu, tłumiąc w sobie, cisnące się na usta pytania i gorzkie wymówki, bo rozumował, że lepiej będzie samemu dojść do jakiejś prawdy oczywistej, miał bowiem, obok pewności, że to co mówił stary profesor jest prawdą, jakąś znikomą iskierkę nadziei, że to wszystko okaże się jeszcze raptem jakimś cudem nadzwyczajnym, nieprawdą.

Łanecki miał rację — niełatwo było przestać kochać Helenę, nienawiść i miłość chadzają w parze.

Helena, jak zawsze, spotkała go tak wyniosła, a zarazem tak tkliwa, kochająca.

„Wujku Andrzejku" wołał maleńki „synek" Karola? — O, ironio, a tak kochał dziecko, całą swą miłość do niezapomnianego brata przelał na to maleństwo, i tak z niego zadrwić, tak zadrwić, czyż to prawda, czyż to możliwe, bo przecież jest wyraźne podobieństwo małego Jędrka do rzekomego ojca, do Karola, a tym samym i do Andrzeja; czyżby więc wyrafinowanie i przewrotność Heleny posuwały się do tego stopnia, że naumyślnie wyszukała starannie gdzieś tak podobne dziecko?

Przeszło parę miesięcy. Andrzej żył ciągle w oczekiwaniu czegoś, co się stać miało, czegoś, co miało wyraźnie udowodnić, że usłyszana rozmowa w laboratorium była prawdą, nie koszmarnym snem.

Niepewność go dręczyła, a jednak jeszcze nie mógł odważyć się na to, aby spytać Heleny czy naprawdę jest tak kłamliwą, niedobrą.

Niewymownie ciążyło też na nim, że udawał przed Heleną, iż jest taki sam, choć nie mógł przecie na tyle przełamać się, aby nadal z nią żyć jako z żoną — jako kobieta od razu stała się dlań przykra, odpychająca.

Helenę dziwiła i niepokoiła nieco ta oziębłość tak namiętnego dotąd kochanka, lecz tłumaczyła to sobie, jako chwilowe uśpienie nasyconych zmysłów, a także jako przemęczenie pracą.

I oto, to czego Andrzej oczekiwał z takim upragnieniem i przerażeniem zarazem, że to nadejdzie, to jest drobnego jakiegoś na pozór faktu, który by potwierdził prawdziwość oskarżeń profesora — nadeszło.

Było to tak: Helena tego dnia przyszła do niego do szpitala i w czasie kiedy siedziała w jego gabinecie, wszedł profesor Łanecki, Andrzej pilnie śledził wyraz twarzy Heleny.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

RAJ KOBIET

Przygotujmy nasze domy na przyjęcie nadchodzących Świąt!

Kto jeszcze nie zabrał się do przygotowań, dążących w kierunku przystrojenia domu na święta Bożego Narodzenia lub może wcale nawet jeszcze nie pomyślał o tym, temu spieszę przypomnieć o tej miłej dla każdej Pani domu i reszty domowników — konieczności. I podam równocześnie kilka potrzebnych wskazówek.

Stary jakże dobry zwyczaj, każe na Wigilię oczyścić, ochędożyć cały dom. A więc na oknach zawiesić czyściutkie białe firanki, wypolerować do lśnienia wszelkie metalowe części mieszkania i sprzętów, wyfroterować podłogę, odkurzyć sumiennie stare żyrandole i wszystkie inne lampy, wyciągnąć z kredensów cenne porcelany i srebra (te, co to chowa się na największe uroczystości), a gdy ich nie ma, to starczą te, które mamy, no i przygotować niezliczone, a smakowite potrawy na wieczerzę wigilijną.

O tym każda skrzętna pani domu pomyślała już dawno i poczyniła zakupy w miarę swoich możliwości finansowych.

Może nie będzie na tej uroczystej wieczerzy owych sławetnych 9-ciu potraw, ale te, na które każdy dom stać, będą na pewno.

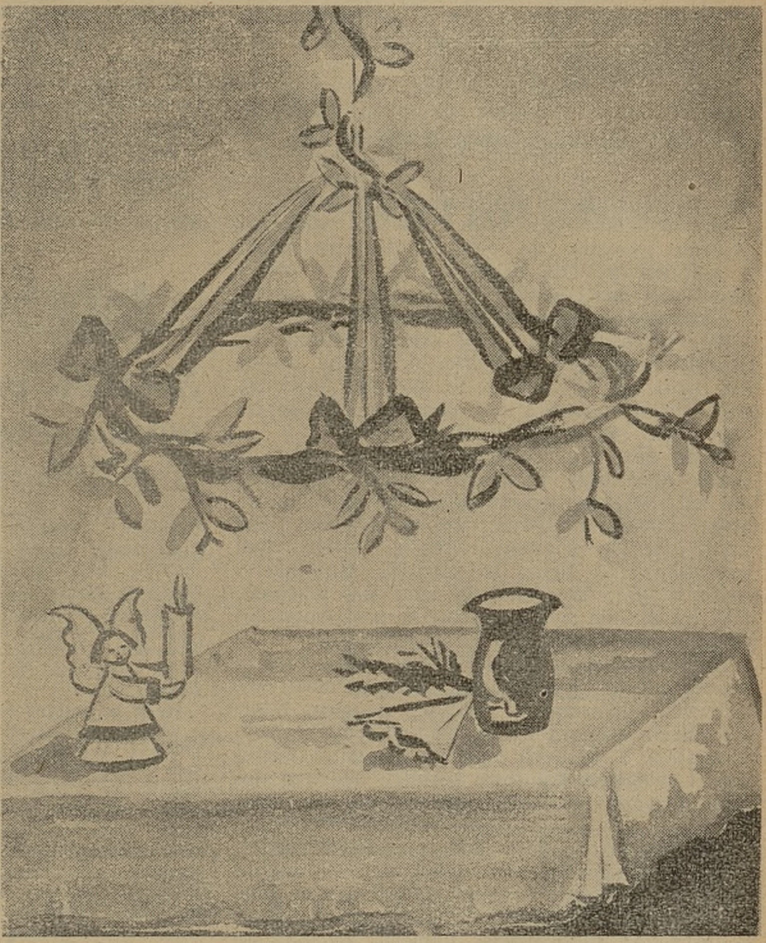
Do tych najkonieczniejszych, a niedrogich, zaliczymy barszcz czerwony z uszkami, karpia lub inną rybę (jeżeli karp, to w sosie szarym, a jeżeli szczupak, to w chrzanowym) dalej ziemniaczki z wody, kapusta duszona z grzybami, pierożki z grzybami, strucle lub łamańce z makiem i owoce.

Ale przyrządzenie potraw, to jeszcze nie wszystko. Z równą troskliwością należy zastawić i udekorować stół wigilijny.

Więc najpierw kładziemy na róg stołu wiąź aromatycznego siana, bo tak każe miły sercu dawny zwyczaj, następnie okrywamy stół białym, świetnie wyprasowanym obrusem i teraz dopiero ustawiamy nakrycia, dekorujemy stół gałązkami świerku, mchem i kwiatami.

Pod głównym żyrandolem zawieszamy wieniec, uwity ze świeżych, pachnących gałązek jemioły. Pod nimi, jak głosi tradycja, w wieczór wigilijny wolno sobie składać pocałunki pokoju i szczęścia.

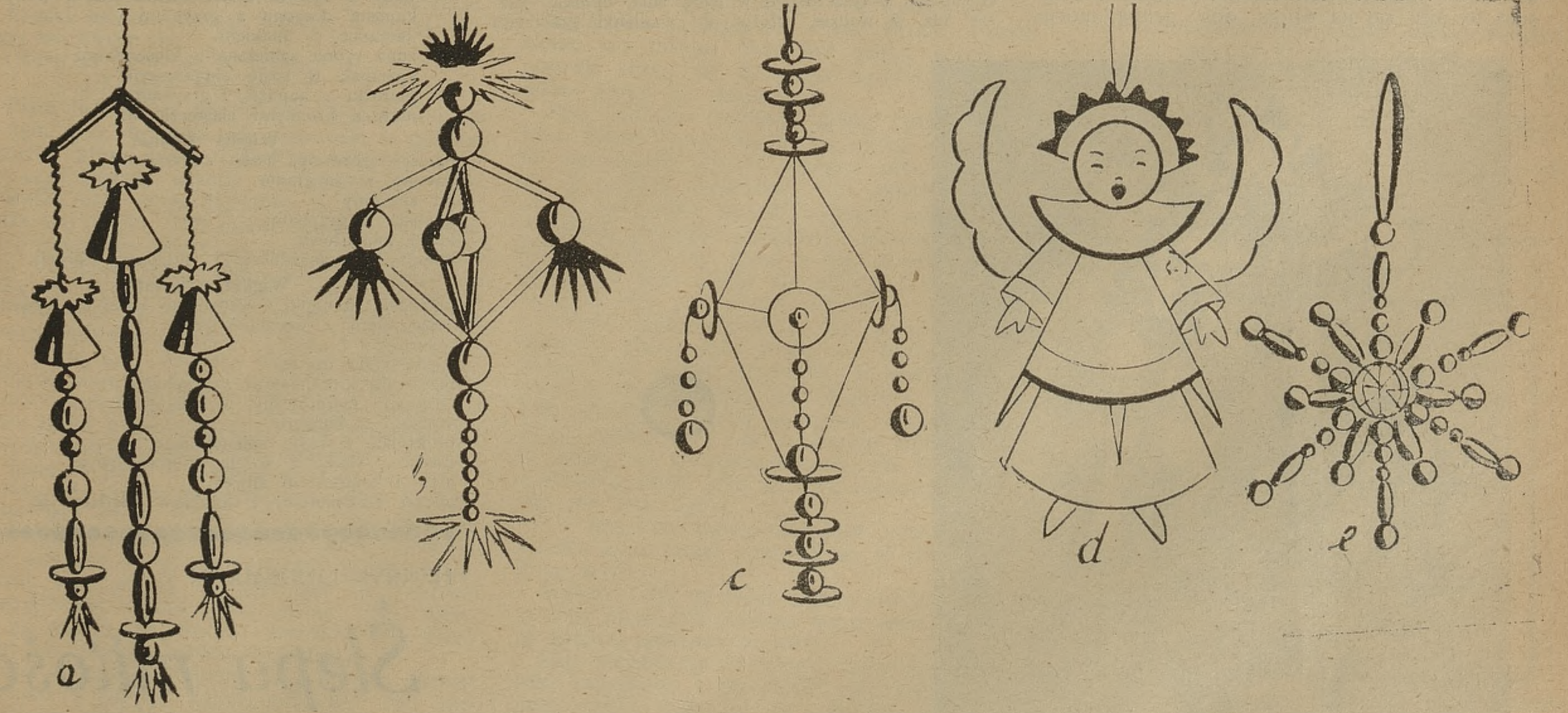
Oryginalny ten zwyczaj przedostał się do nas z zachodu, gdzie dla jemioły mają równy kult, jak my dla choinki.



Piękny prezent dla naszych córeczek: duża lalka w kompleciku z barwnej włóczki.

Co do nas, to możemy przyjąć go z tak bardzo nam specyficzną gościnnością, jako że wnosi jeszcze jeden słodki ton w zgodną i harmonijną pieśń naszych zwyczajów gwiazdkowych, ale niemniej nie powinniśmy zapomnieć o przygotowaniu i przystrojeniu naszego zaczarowanego drzewka, które tyle uroku miało dla nas, gdy byłyśmy jeszcze małe, skłonne do romantyzmu i marzeń. I ma jeszcze zawsze, choć już wyrosłyśmy dawno z warkoczyków, ciasno splecionych przy główce i krótkich, suto zdobionych falbankami sukienek.

Wyrosłyśmy z maleńkich dziewczęcych sukienek, lecz nie ze skłonności do marzeń, roztkliwienia i romantyzmu. Powiedziała mi raz dobra znajoma, że człowiek z niczego wyróść i niczego zapomnieć nie potrafi, cho-



a) Śliczna ozdoba z czerwonych i żółtych koralików, nawlekanych na nitkę. Dzwoneczki ze złotego papieru, gwiazdeczki znowu z żółtego.
b) Ozdoba z białych perełek, słomki, żółtego celofanu i złotego papieru.
c) Ośmiobok ozdobiony rzędami perełek.

d) Aniołek zrobiony z 4 stożków: dwóch mniejszych i dwóch większych. Stożki połączyć drutem. Nałożyć krezę, przykleić główkę z waty i złoto-czerwoną koronę. Skrzydełka i sukienka białe z czerwonymi paseczkami.

e) Gwiazda z perełek, małych i dużych, nałożonych na druciki.

Tego gatunku ozdób można zrobić niezliczoną ilość: łańcuchy przeplatane słomką, koralikami różnej wielkości, gwiazdkami, kółkami itd. Dalej pajączki z perełek na drucikach i złotej siatki, pajacyki, dzbanuszki i t. d.

ciaż mu się zdaje, że tak. Ja myślę, że miała rację. Nasz sentyment do choinki jest tego dowodem.

A kiedy już tak kochamy choinkę, to postarajmy się, żeby ustroić ją jak najpiękniej, najbardziej malowniczo i urokliwie. Całość winna wywierać wrażenie dobrej i do ostatniego szczegółu wypracowanej kompozycji malarsko-poetyckiej. Bo świetnie przybrana choinka, to żywy obraz, to poemat, który zachwycić winien i oszołomić patrzące na nią dzieci i niezatartym obrazem wyryć się w duszy na długie, długie lata i tę przykrą ewentualność, gdy może w późniejszych latach nie stanie drzewka w życiu samotnika, który dziś jeszcze jest małym dzieckiem.

Choć z drugiej strony, największy nawet samotnik może postarać się o namiastkę niezapomnianych uroków Bożego drzewka w bardzo nietrudny sposób.

Otóż kupi maleńką choinkę, włoży ją do dużej doniczki z ziemią na dnie, następnie warstwami dosypuje ziemi, ubijając każdą mocno. Gdy już drzewko jest umocnione dostatecznie w doniczce, zarzuca czerń ziemi szczyptami waty i drobniutko pociętymi pasmami staniolu. Na czub drzewka zawiesza srebrną gwiazdę, do gałązek doczepia żabki z kolorowymi lub białymi (jak woli) świeczuszkami, kilka matowych białych kul, a całe drzewko zarzuca delikatnie drobnymi, jak śnieg, płatkami waty i pasmami staniolu. — Staniol znajdzie się zawsze, a choćby nawet nie było go w domu, to można kupić za parę groszy gotowe już pasemka. W sprzedaży zwie się to „Brillant lametta".

Takie skromne, a jednak miłe drzewko — (wzór daję przy niniejszym) efekt da, może nie ten sam, ale podobny, jak ogromne i przybrane bogato i barwnie, zaś w każdym razie umili wieczór wigilijny i resztę świąt, tym wszystkim, co będą je spędzali samotnie i cicho i tym, których nie stać na wydatek, jaki by on nie był, związany z przystrojeniem dużego, lub może nie ma na to czasu.

Natomiast ci wszyscy, którzy mają czas i ochotę, niech czym prędzej zakupią masę kolorowych, błyszczących arkuszy papieru, bibułek, niech wybiorą sporo niepogiętych słomek, wysupłają z różnych babcinych szali, chusteczek i sakiewek, kolorowe koraliki, naostrzą dobrze nożyczki — i niech się zabiorą do dzieła!

Na ilustracji podaję kilka przemiłych ozdób i określam sposoby ich wykonania. A dodam jeszcze, że pięknie wyglądają też długie łańcuchy, które wykonuje się następująco: z różnego kolorowego błyszczącego papieru wycina się małe gwiazdeczki, nacina mnóstwo drobnych kawałków słomki oraz układa koraliki i wszystko to niże się na długą, dość grubą, mocną nić w nast. kolejności. Najpierw niże się okrągły paciorek, potem gwiazdkę (dwie gwiazdeczki zlepione po stronie białej) po niej znowu paciorek, potem słomkę, znowu paciorek i gwiazdkę i tak do skutku. Kawałki słomki mogą być zastąpione długimi paciorkami, gdy mamy dostateczną ich ilość. Zaznaczam jednak, że taki łańcuch koralikowy jest nieco ciężki i trudniej daje się układać na gałązkach, gnąc je ku dołowi. W braku paciorków możemy posłużyć się namoczonym uprzednio grochem. W cieple pokoju stwardnieje groch na łańcuchu i będzie wyglądał wcale dobrze.

Ładnie wyglądają również łańcuchy, sklejane z samych kolorowych kółek papierkowych, lub też wykonane z wachlarzowato karbowanych bibułek i słomek, nizanych na przemian.

Zresztą co głowa i rączki, to piękniejszy pomysł i wykonanie. Byle tylko zapaliły się te głowy i rozruszały rączki, a ręczę, że choinki będą istnymi cudeńkami, zrodzonymi z podszeptów, artystycznej inwencji polskich głów i serc.

Więc niech te głowy posłuchają radosnych drgnień serca i niech potem wymyślają cacka, ozdóbki, łańcuszki, fantazyjki coraz to piękniejsze i coraz bardziej niezrównane!

Mirania Galińska.



Małe drzewko osłodzi gorycz ludzi samotnych, opuszczonych i biednych.

DOBRA *gospodyni*

Sposoby przyrządzenia potraw wigilijnych

Czysty barszcz wigilijny. Ugotować smak z włoszczyzny z dodatkiem paru suszonych grzybków. Dodać sporo cebuli, parę ziarn pieprzu, listek bobkowy i kawałek mocnego bulionu. Gdy smak zagotowany, utrzeć na tarce kilka czerwonych buraczków, lekko osolić, włożyć w rondel, zalać wrzącym smakiem przecedzonym przez sito. Trzymać na gorącej blasze, nie gotując parę godzin, aby dobrze naciągnął. Wydając na stół, doprawić solą, octem, Podawać w filiżankach, a jeżeli na talerzach, podać uszka grzybowe. Dodać do barszczu parę kropel Knorr.

Karp w szarym sosie. Karpia ugotować na smaku z włoszczyzny, cebuli i korzeni i włożyć na półmisek, postawić w ciepłe miejsce, aby nie ostygł. Przyrządzić sos: cukier w kawałkach skropić lekko wodą i zrumienić na karmel. Łyżkę mąki zrumienić z łyżką masła, rozprowadzić karmelem, sokiem z gotowanej ryby, dodać kawałeczek miodownika, który nadaje sosowi smaku, osolić, osłodzić, wcisnąć sok z cytryny. wsypać garść przemytych rodzynek, sparzonych i pokrojonych w paseczki migdałów słodkich. Można też dodać kieliszek wina dla podniesienia smaku. Zagotować i połową polać karpia, a połowę podać w sosjerce.

Szczupak po polsku z sosem chrzanowym. Dużego szczupaka, oczyszczonego w wilię dnia, opłukać jeszcze raz w wodzie, włożyć do wanienki grzbietem do góry, zalać silnym smakiem z włoszczyzny i korzeniami w przód ugotowanymi i gotować na bardzo wolnym ogniu pod przykryciem zważając, by był miękki, ale się nie rozleciał. Polać sosem chrzanowym i ubrać plasterkami cytryny.

Sos chrzanowy. Zrobić białą zaprażkę z pół łyżki masła i mąki, wrzucić do niej dwie łyżki utartego chrzanu, aby się razem zasmażył, rozprowadzić rosołem, wlać ćwierć l. kwaśnej śmietany, posolić, dać kto lubi słodszy, pół łyżeczki cukru dla złagodzenia ostrości chrzanu, wcisnąć trochę cytryny, zagotować raz. Można przed wydaniem zaprawić dwoma żółtkami, a będzie smaczniejszy.

Kapusta z grzybami. Kilo kapusty kiszonej nastawić w kamiennym garnku, dodawszy garść lub dwie suszonych grzybów, które należy przed tym wypłukać w ciepłej wodzie. Gdy grzyby są już zupełnie miękkie, wyjąć je, poszatkować i wymieszać z kapustą, którą zaprawić jak zwykle słoniną lub masłem z zasmażoną cebulą i mąką, dodawszy trochę cukru do smaku.

Groszek zielony z grzankami. Wyłuskany litr groszku (proporcja na 5 do 6 osób) wypłukać, zalać wodą tyle, aby go pokryła, posolić i włożywszy łyżkę masła, gotować w parze przez pół godziny. Potem dodać cukru do smaku, oprószyć lekko mąką, poddusić jeszcze 10 minut i wydać z grzankami.

Grzanki. Pokrajać okrągłe lub czworograniaste grzanki z bułki na centymetr grube, skropić lekko słodkim mlekiem, obsmażyć na rumiano po obu stronach na maśle i wstawić na kwadrans do pieca, aby w środku doschły.

Legumina z maku (wigilijna). Wypłukany mak biały lub niebieski moczyć w zimnej wodzie przez 12 godzin, po czym sparzyć mak gorącą wodą. Po paru godzinach osączyć, utrzeć w makutrze, dodając trochę śmietanki. Do 400 g takiego maku dodać 70 g makaroników, 10 żółtek, 100 g cukru, 100 g opłukanych rodzynków, a gdyby masa była za rzadka, kilka łyżek tartej bułki i pianę z 10 białek. Wlać do formy, wysmarowanej masłem i piec na parze tj. wstawić do garnka napełnionego letnią wodą na półtorej godziny. Podać z sosem śmietankowym.

Drobne ciasteczka

Obwarzanki na choinkę. Ćwierć kg orzechów włoskich lub migdałów zemleć na maszynce, następnie utrzeć wałkiem w misce, dodając sok z 1 cytryny oraz ćwierć kg miałkiego cukru. Wszystko utrzeć na jednolitą masę, w końcu dodać sztywną pianę z trzech białek i wymieszać. Robić obwarzanki, dać na blachę i odpiec na jasno-złoty kolor.

Ciasteczka maślane. Filiżanka masła, filiżanka cukru, 2 całe jajka, 2 żółtka, 4 filiżanki mąki, cytrynowej skórki. Wymieszać dobrze, Wyrabiać okrągłe ciasteczka i piec.

Ciasteczka czekoladowe. 120 g deserowego masła utrzeć na pianę, wbijając po jednemu 2 całe jajka, dosypać 45 g tartej czekolady i 30 g mąki z utartego chleba razowego, dosypać 25 g posiekanych migdałów lub orzechów i 100 g cukru. Wszystko razem urabiać, formować kółka, gwiazdki i t. p. Blachę smarować lekko masłem i piec w niebardzo gorącym piecu.

Wigilia skromna

1. czysty barszcz z grzybowymi uszkami
   karp w szarym sosie, ziemniaczki z wody
   kapusta duszona z grzybami
   łamańce z makiem.
2. zupa rybna zabielana z kluseczkami
   szczupak w sosie chrzanowym
   pierożki z kapustą i grzybami
   mak z kruchymi ciasteczkami.

Wigilia średnia

barszcz czerwony, uszka z grzybami
karasie w śmietanie
lin smażony
kapusta z grzybami
kisiel migdałowy
kompot z pomarańczy i suszonych śliwek.

Wigilia wykwintna

przekąski: kanapki z wędzonym łososiem, sardynkami, pasztetem z wędzonej ryby
rolmopsy
zupa rybna czysta
paszteciki z kapustą i z grzybami
szczupak faszerowany w galarecie
szparagi z konserw
brukselka w sosie holenderskim
łosoś z wody z sosem musztardowym
mak i kompot ze śliwek
budyń czekoladowy z mlekiem migdałowym.

HENRYK LINDEMANN

Ślepa miłość

(Nowela)

„Utarło się już twierdzenie, że człowiek zakochany patrzy na swój przedmiot miłości przez różowe okulary, nie dostrzegając rażących niekiedy wad zarówno zewnętrznych jak i wewnętrznych. Inni znów mówią, że w całym zlepku walorów duchowych i cielesnych, w kon-

glomeracie wad, wystarczy jeden szczegół, który w cień usuwa wszystko inne, sam będąc często powodem wywołania czyjegoś uczucia.

Tutaj wchodzi w grę inne znów twierdzenie, że miłość jest ślepą, że potrafi zupełnie pominąć choćby najbardziej rażącą wadę. Odnosi się to szczególnie do kobiet..."

Ręka pisząca te słowa zatrzymała się przy ostatnim wyrazie. Wolno odłożyła obsadkę i ująwszy papierosa ze stojącej na biurku kasety, uniosła go do ust. Po chwili przez światło lampy przemknął obłok błękitnego dymu. Człowiek zamyślił się.

* * *

Czerwone światło z napisem „cisza", umieszczone nad drzwiami, prowadzącymi do studio speakera rozgłośni, zgasło. Powoli drzwi otworzyły się i na korytarz wyszedł Zbigniew Bruski. Szybko udał się do znajdującego się w końcu korytarza sekretariatu rozgłośni, gdzie za nowoczesnym biurkiem siedział Stefan Obremski, który swym świetnie skrojonym garniturem, wytwornym krawatem, nieskazitelną fryzurą i obojętnym wyrazem ładnej twarzy stanowił doskonałe uzupełnienie nowocześnie urządzonego gabinetu.

— Jest poczta dla pana. Między innymi list w fioletowej kopercie — przywitał Bruskiego ze znaczącym uśmiechem.

Bruski stłumił złość w sobie. Dowcip Obremskiego, powtarzany od tygodnia był w zasadzie dobry, odnosił się bowiem do listu, który z rzadko u kobiet spotykaną regularnością dostawał się codziennie, od dwóch mniej więcej tygodni do rąk Bruskiego.

Ponieważ listów tego rodzaju otrzymywał więcej, (był przecież też swego rodzaju „gwiazdą" na firmamencie sztuki mówienia), nie zadziwiło go postępowanie Steni Zamorskiej, która rzuciła mu z daleka płomienne wyznanie miłości. Ale zazwyczaj kończyły się tego rodzaju wynurzenia innych wielbicielek na dwóch, a najwyżej trzech listach, które on zresztą z zasady pozostawiał bez odpowiedzi.

Ale dzisiaj był jakoś dziwnie nastrojony. Może to sprawiła wytrwałość Steni Zamorskiej, która potrafiła tak uporczywie zwracać się do niego, nie spodziewając się żadnej na razie reakcji z jego strony. Może podświadomie poczuł sympatię do znanej tylko z nazwiska wielbicielki. Nie wiadomo. W każdym razie zabolała go uwaga Obremskiego, który na pewno nie zamierzał go swym odezwaniem urazić.

Pozostawił słowa sekretarza bez odpowiedzi, usiadł w fotelu, zapalił papierosa i przypatrzył się kopercie. Wiedział, że treść listu będzie podobna do poprzednich. A jednak czuł, że list ten przeczyta z zaciekawieniem. Tak jak czytał poprzednio otrzymane listy, a ponadto autorka ich wkładała w nie tak potężną dozę uczucia, że nie sposób było wziąć je nieszczerze.

Bruski wolno przeciął kopertę i wyjął złożony we dwoje list.

Otworzył go i zaczął czytać:

„Drogi Panie!

Piszę już po raz dwunasty, a bynajmniej nie w tym celu, by ilość ich stanowiła o potędze uczucia, które żywię dla Pana. Miłość moja, bo czyż inaczej nazwać mogę uczucie, które przenika całe moje jestestwo bez reszty, zrodziła się nagle. Nie znam Pana z nazwiska, gdyż mieszkam daleko od miasta, w którym się Pan znajduje, nie znam Jego wyglądu, ruchów, a znam tylko jedno, co mi wystarcza za wszystko inne: znam głos Pana. Takim głosem może przemawiać tylko mężczyzna godny najwyższej miłości. Ilekroć słyszę głos, tylekroć staje mi przed oczami Pańska postać, pełna szlachetnej dumy, a zarazem nosząca w sobie jakieś pierwiastki sentymentu. Posiada Pan wszelkie zalety prawdziwego mężczyzny, co zresztą idzie w parze z Pańską postacią.

Nasunie się może Panu myśl, że fantazja moja jest nieco bujna w tym wypadku, że zbyt dużo wnioskuję z samego głosu. Było by tak, gdybym to wzięła z punktu widzenia rozsądku, lecz jednak u mnie gra rolę jedynie przeogromne uczucie. Gdy kiedyś Pana ujrzę, to na pewno nie doznam rozczarowania. Polegam na intuicji kobiety zakochanej.

Ale teraz zapragnęłam całą sprawę pchnąć naprzód i rozciąć węzeł gordyjski mej niepewności. Sądzę, że zrozumie Pan tę chęć przemożną kobiety zakochanej, dążącej mimo wszystko do bliższego poznania.

Błagam Pana na wszystko co mam najdroższego, na moją miłość: chcę Pana ujrzeć, porozmawiać z Nim. Przyjadę do miasta, w którym Pan się znajduje. Proszę tylko mi podać warunki spotkania. Zgadzam się z góry na wszystkie.

Stenia Zamorska".

Bruski wolno złożył list we dwoje i zamyślił się.

Przeciąć węzeł gordyjski!

Tak to jedyne wyjście. Aż uśmiechnął się na myśl, że istnieje tak proste rozwiązanie sprawy.

Trzeba przeciąć węzeł. I to jak najprędzej. Jeszcze gotów na mnie paść urok. A ona na pewno jest piękna. Brzydka kobieta w ten sposób nie umiałaby pisać.

W tej chwili jakaś bolesna myśl przeszyła mu umysł. Piękna kobieta! Zakochana w nim! Nie, nie można nawet pozwolić na myśl o pięknej kobiecie.

Wstał, zbliżył się do Obremskiego, który na jego widok podniósł głowę i ukazał uśmiech na ładnej twarzy:

— I cóż?

— Ha, chce się ze mną widzieć. Przetnę węzeł gordyjski — rzekł Bruski.

Obremski spoważniał i odwrócił wzrok.

— Tak będzie najlepiej, rzekł cicho i zagłębił się w pracy, by pokryć mimowolne zakłopotanie.

Bruski uśmiechnął się boleśnie i wyszedł.

* * *

„Droga Pani!

A więc zgadzam się. Uwierzyłem w Pani uczucie i pragnę, by Pani nie trwała dłużej w niepewności. Ujęła mnie Pani swym wyznaniem, a sam mimo to przeklinam w duchu mój głos, który jest mimowolnym sprawcą tej tragedii.

Jeżeli Pani chce koniecznie widzieć się ze mną, to proszę przyjechać za cztery dni, to znaczy 21 bm. Spotkamy się w cukierni „Eldorado".

Warunki moje, co do samego spotkania są dość skomplikowane, ale zmusza mnie do tego nieubłagana konieczność.

Otóż przybędzie Pani na miejsce spotkania o godzinie 5-tej po południu. Usiądzie Pani przy ścianie pod wielkim lustrem, tak, ażebym mógł Panią poznać.

Punktualnie o godzinie 5,15 wejdę głównym wejściem i przejdę wolno przez cały lokal. Ubrany będę w popielaty garnitur i granatowy krawat. Pod żadnym warunkiem nie wolno Pani ruszać się z miejsca. Wrócę ponownie do lokalu po upływie pół godziny i wówczas przyjdę już wprost do Pani.

Z poważaniem

Zbigniew Bruski".

Przez kilka dni Bruski chodził lekko podenerwowany. Nie mógł się uspokoić. Czuł, że gdyby podał dłuższy okres czasu, to mógłby palnąć głupstwo i pojechać do tej, która go tak bardzo pragnęła ujrzeć. Ale wytrzymał.

Rzuk oka na zegarek. Piąta. Bruski wszedł wolno do lokalu. Gdy był mniej więcej w połowie drogi do drugiego wyjścia odwrócił lekko głowę i... przystanął.

Pod lustrem siedziała tylko jedna osoba. Ona, Stenia Zamorska, której widok zmusił go do zatrzymania się. Na moment stracił władzę we wszystkich członkach. Nie umiałby w tej chwili konkretnie opisać wyglądu nieznajomej.

Stracił zdolność logicznego myślenia. Już chciał zwrócić swe kroki w jej kierunku, kiedy spojrzenie jego padło na wielkie lustro, które odbijało całą jego postać. Ujrzał w nim twarz o rysach zniekształconych, tak zeszpeconą, że mogłaby służyć jako model do twarzy Quasimoda. Cała postać skrzywiona w lewo, a jedna noga sztywna w całej swej długości. To wszystko skutki katastrofy samolotu, którą przeżył przed sześciu laty. On, bożyszcze kobiet, aktor o sławie już międzynarodowej. Po katastrofie z której wyszedł jako szczątek człowieka, pozostał mu tylko głos.

To wszystko trwało zaledwie parę sekund. Szybko teraz zaczął posuwać się w stronę drugiego wyjścia.

Szybko! Czyż on mógł szybko chodzić. Wlókł za sobą niezdarnie sztywną nogę, pochylając się za każdym krokiem w lewo.

Gdy znalazł się za kotarą, oddzielającą wejście, przystanął i po chwili odwrócił się, by przez szparę zobaczyć, co robi Stenia. Ujrzał, że pochyliła głowę i chusteczkę przyłożyła do oczu.

Po chwili był już na ulicy, przywołał taksówkę, wsiadł i kazał ruszyć pełnym gazem za miasto.

Gdy wrócił po upływie pół godziny, miejsce pod lustrem było puste.

Usiadł przy pierwszym z brzegu stoliku, zamówił kawę i oparł głowę na ręce.

— Węzeł gordyjski został rozcięty — rzekł do siebie półgłosem.

* * *

Bruski ocknął się z zamyślenia, spojrzał na zapisaną kartę papieru i wzrok jego wyłowił ostatnie zdanie:

„Tutaj w grę wchodzi inne znów twierdzenie, że miłość jest ślepą, że potrafi zupełnie pominąć choćby najbardziej rażącą wadę. Odnosi się to szczególnie do kobiet..."

— Miałem kilka lat temu sposobność doświadczyć absurdalności tego twierdzenia, rzekł głośno.

Od drugiego biurka spojrzał na Bruskiego Obremski:

— O co ci chodzi?

— Przygotowywałem sobie felieton wiosenny o miłości i mimo woli zboczyłem z tematu. Pamiętasz jeszcze listy tej Steni Zamorskiej? Wspaniałe były, prawda?

Chwila zastanowienia

KONIKÓWKA

ułoż. — Witold Mataczyński — Łysinin

źle	le	sić	go	gdy
czy	ne	jest	go	nie
a	zno	nią	zło	lep
o	nie	mu	szczę	rzej
si	ścia	gdy	szym	wiek

Ruchem konika odczytać treść konikówki.

— — — — — — —

UZUPEŁNIANKA

ułoż .— „Eros".

P	i								Uczony grecki
		p	i						urząd portowy
				p	i			X	wyspy
							p	i	rzeka U.S.A.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 23 grudnia br.

Rozwiązanie zadań z numeru 49 „Moich Powieści".

I. Konikówka: Kłamcy nie chcą ludzie wierzyć, choćby prawdę mówił.

II. Kwadrat magiczny:

						N
	K	R	O	S	T	A
	R	O	B	E	R	T
	O	B	E	R	Ż	A
	S	E	R	W	A	L
	T	R	Ż	A	S	K
N	A	T	A	L	K	A

Trafne rozwiązania nadesłali p.p.: Rokicki Stanisław — Kowel, Rosiak Stanisław — Dąbie nad Notecią, Podhalicz St. — Lwów, Kawecki Wincenty — Łąg, „Eros", Golimuntowicz Wanda — Dukla, podchor. Sawicki Ambroży — Grudziądz, Makurat A. — Wejherowo.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Rokickiemu z Kowla i „Erosowi".

Radio

Niedziela, dnia 18 grudnia 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Transmisja nabożeństwa z Kościoła św. Krzyża 10,30 Muzyka z płyt 11.45 Muzyka w okresie Świąt Bożego Narodzenia — felieton; wygłosi E. Rudnicki 12.03 Poranek symfoniczny z Łodzi 13.15 Muzyka obiadowa ze Lwowa 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.30 Arie i pieśni operowe — koncert wokalny 17.00 „Małżeństwo doskonałe" — premiera słuchowiska 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie 19.30 Nowe nagrania popularnych utworów symf. — płyty 21.20 „Kraina uśmiechu" — operetka Lehara.

Poniedziałek, dnia 19 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Tańce charakterystyczne — koncert z płyt 12.03 Audycja południowa 13.00 Koncert rozrywkowy 13.30 „Moniuszko" — audycja dla liceów 15.00 Słuchowisko da młodzieży „O Janku co psom szył buty" 15.30 Muzyka obiadowa z Katowic 16.35 Recital fortepianowy Ilsy Rodzińskiej 17.30 „Sylwetki lutnistów sctaropolskich" 18.00 Audycja dla wsi 18.30 „Pills i Tabet w piosenkach solowych i zespoołwych" 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert rozrywkowy z Łodzi 21.00 Muzyka wokalna w wyk. zespołu Jana Hoffmana 22.00 „Dzieje symfonii" — audycja muzyczna.

Wtorek, dnia 20 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Z twórczości Eryka Coatesa — płyty 12.03 Audycja południowa 15.00 „Mam 13 lat" — powieść mówiona 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.30 Recital skrzypcowy Z. Roesnera 17.00 Arie operowe w wyk. St. Drabika 17.30 „Z pieśnią po kraju" 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert T-wa Krzewienia Muzyki Kameralnej 21.50 „Poezja wieku złotego" — audycja słowno-muzyczna.

Środa, dnia 21 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Erna Sack i Karol Schmitt-Walter — śpiewają (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 Rozwiązanie zagadki historycznej dla młodzieży 15.05 „Nasz koncert" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.35 Utwory wiolonczelowe w wyk. Artura Wenske 17.00 Pisarze współcześni o żołnierzu (ankieta Polski Zbrojnej) 17.15 Koncert kameralny z Krakowa 18.00 Audycja dla wsi 18.40 Dyskutujmy: „Poświęcenie bez granic" przyjście Pana" — rozmowa adwentowa 22.00 Hektor Berlicz — muzyka z płyt.

Czwartek, dnia 22 grudnia 1938 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 Audycja dla młodzieży 15.15 „Kłopoty i rady" „Święta, Święta" — dialog 15.30 Muzyka obiadowa 16.20 Folklor różnych narodów — koncert 17.05 Co chorym i ich otoczeniu może dać przychodnia przeciwgruźlicza — odczyt 17.20 Utwory fortepianowe Pantcho Wladigerowa w wykonaniu kompozytora 18.30 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 Życiorysy instrumentów: Śpiewające drzewo 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 „Pochodnie wieków" (audycja IV) „Jerozolima wyzwolona" 21.30 Utwory chóralne kompozytorów polskich w wykonaniu Poznańskiego chóru Katedralnego 21.45 „Na przyjście Pana" — rozmowa adwentowa 22.00 Józef Haydn (płyty) 23.05 Koncert kameralny w wyk. Eug. Umińskiej — skrzypce i Zygmunta Dygata — fortepian.

Piątek, dnia 23 grudnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 15.00 Audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.35 Paul Dukas „Uczeń czarnoksiężnika" — Scherzo symf. 17.00 Opowieść o Bachu 18.00 Audycja dla wsi 18.50 Koncert 19.15 Kartki z Finlandii — koncert rozrywkowy 21.00 „Na przyjście Pana" — rozmowa adwentowa 21.15 Koncert symfoniczny z udz. J. Żurawlewa 22.45 Muzyka z płyt.

Sobota, dnia 24 grudnia 1938 r.
WIGILIA

6.15 Audycja poranna 11.00 Aud. dla dzieci „Śpiewajmy kolendy" 11.25 „Nim gwiazdka zaNŚświeci" aud. dla dzieci 15.00 W szczodry wieczór — słuchowisko dla dzieci młodszych 15.30 „Wiitaj gwiazdko złota" — koncert 16.25 Wigilia na strażnicy KOP. 16.55 Kolendy w wyk. chóru „Harmonia" 17.20 „Drzwi zamknięte" — fragm. z powieści Rittnera 17.40 Bożenarodzenie w polskiej twórczości fortepian. 18.00 Kolendy w wyk. chóru Katedr. ks. Gieburowskiego 18.30 Przemówienie wigilijne prym. Polski ks. kard. dr. A. Hlonda 18.45 Audycja dla Polaków Zagranicą 19.15 Transmisja z Konserwatorium w Warszawie 19.55 Koncert z Wilna 19.45 „Z opłatkiem u marynarzy" — transm. z Gdyni 21.00 „Nasza choinka" aud. literacko-muzyczna 21.35 Koncert wigilijny 23.50 „Boże Narodzenie na Zaolziu" — felieton 24.00 Transm. Pasterki z Jabłonkowa na Zaolziu.



OBIETNICA

Szef: — Podwyższę panu pensję o pięćdziesiąt złotych, ale proszę nikomu o tym nie mówić.

Urzędnik: — Może mi pan dyrektor zaufać! Nie powiem nawet żonie!

BEZSKUTECZNA GROŹBA

Ona: — Jeśli nie dostanę kapelusza, nie odezwę się do siebie ani razu w ciągu 2-ch tygodni.

On: — Czy mogę na to liczyć?

TYLKO SIĘ PYTAŁA...

— Powiedz mi, co tu u was była za awantura? Myślałem, że sufit się wali!

— Ale nic podobnego. To tylko żona pytała się, gdzie byłem tak długo.

SZCZERA PRZYSIĘGA

Pani Pantofelkiewiczowa: — Teofilu, podejrzewam cię, że gdybyś był wolny, natomiast byś się ożenił?

Pan Pantofelkiewicz: — Kochanie, przysięgam, że nic nie pragnę oprócz wolności!

UZASADNIONA OBAWA

— A więc byłam u doktora. Kazał mi pokazać język, a gdy go tylko zobaczył, zaraz mi przepisał lekarstwo wzmacniające.

Mąż przerażony:

— Ale chyba nie na wzmocnienie języka.

WYROZUMIAŁ

Dlaczego pan zawsze pije dwa razy tyle, co pańscy towarzysze?

— Bo jak wypiję kieliszek wódki, to jakby we mnie drugi człowiek wstąpił.

— To co z tego?

— Przecież temu drugiemu człowiekowi trzeba także dać kieliszek...

ANEGDOTY Z ŻYCIA KRÓLA - SŁOŃCA...

Urodzony przed 300 laty król Francji Ludwik 14-ty, zwany „królem słońcem" — już jako monarcha w blaskach wersalskiego pałacu lubił pzypominać wszystkim o wielkiej swej potędze.

— My królowie — powiedział raz podczas przyjęcia — posiadamy naszą władzę od Boga. Jeżeli jednemu z was, moi panowie, nakażę skoczyć do wody, to musicie to uczynić bez namysłu.

Na te słowa podniósł się z krzesła hrabia de Guise i skierował się ku drzwiom.

— Dokąd pan idzie, hrabio? — zapytał zdziwiony król.

— Idę się uczyć pływać — odpowiedział hrabia.

*

Innego dnia rozmawiano przy obiedzie o nieśmiertelności.

— Wszyscy ludzie muszą umrzeć — powiedział m. in. doktor Boileau.

Król spojrzał na niego oczyma pełnymi — gniewu, wówczas Boileau skłonił się dworsko przed monarchą i sprostował: „Prawie wszyscy"...

*

Od czasu do czasu znosił Ludwik 14-ty odważną odpowiedź. Oto pewien oficer stracił podczas wojny prawe ramię i prosił króla o wyznaczenie mu renty, inaczej przyjdzie mu żebrać.

— Dobrze, dobrze — powiedział król — zobaczę co się da zrobić?

— Sire — zawołał na to oficer ów, głosem pełnym bólu i gniewu — gdybym ja podczas bitew. kiedy chodziło o zwycięzenie wroga, mówił zawsze: „zobaczę co się da zrobić" — to miałbym dzisiaj jeszcze moje ramię i nie potrzebowałbym waszej renty.

Ludwik 14-ty udzielił mu owej renty natychmiast.

*

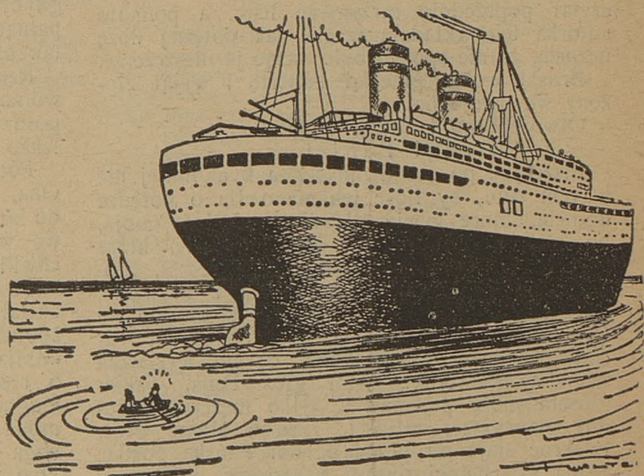
Kiedy Ludwik się zestarzał, lubił starszym od siebie ludziom przypominać o ich rychłej już śmierci. On sam nie znosił kiedy mu przypominano o bliskim końcu. Gdy więc pewnego dnia ujrzał księdza Graduin'a, powiedział:

— O jakżeż się ksiądz postarzał, gdzie się ksiądz rozkaże po śmierci pochować?

— U stóp Waszej Królewskiej Mości — odparł ksiądz, i król nigdy go już nie niepokoił niemiłymi żartami.

PO TEATRZE

— Świetnie grał ten aktor, prawda? Jak krzyknął: „Łapać złodzieja", to już chciałem uciekać.



— Kiepski z ciebie wioślarz! Nie możesz przegonić żadnego statku.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4.50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr. w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.